

Kiedy ranne wstają zorce



Klasztor, fot. Pixabay
Stefan Król (1937-2015)

London, Ontario

Naszą świadomość religijną tworzą dwa nierównorzędne, ale równie ważne składniki: wiara i ogół praktyk religijnych – zwyczaje, obrzędy, rodzaje i formy nabożeństw. Zwyczaje i obrzędy stanowią o sposobach łączenia *sacrum* i *profanum*, natomiast nabożeństwa są głównym miejscem, gdzie zachodzi artystyczna transpozycja wiary. W nich właśnie przejawia się obecność sztuki w kościele, w tym przede wszystkim muzyki.

Pieśni stanowiły tworzywo nabożeństw od początków chrześcijaństwa. Rodzący się Kościół pierwszych wieków kontynuował tradycję śpiewania psalmów Izraela uzupełniał ją jednak w duchu chrześcijańskim o nowe hymny i pieśni. *Warto zapamiętać: od początków chrześcijaństwa nabożeństwo miało za zadanie odwrócenie wzroku od spraw codziennych i skierowanie go na Boga.* – pisał kardynał Józef Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI – *Od zarania chrześcijaństwa jego wyznawcy poszukiwali nowych form poetyckiego i muzycznego wyrazu dla uwielbienia Boga...* Poszukiwania nigdy nie ustały. *Przez sam fakt takiego poszukiwania artystycznego, zbliżacie się, niejako po omacku, do Boga* – mówił Jan Paweł II do artystów w Brukseli 20 maja 1985 roku. Święty Augustyn wyznaje, jak płakał słuchając śpiewu hymnów w opracowaniu św. Ambrożego, subtelного kompozytora, nie dziwi więc jego stwierdzenie: *Kto śpiewem się modli, dwakroć się modli.* Reformy liturgiczne i osobiste zaangażowanie papieża Grzegorza Wielkiego (590-604 r.) wyniosły śpiew kościelny na wyżyny

sztuki wokalne z chorałem gregoriańskim jako jej, przez długie wieki, dominującym szczytem. Nie przypadkowo w ikonografii średniowiecznej przedstawiano papieża jako majestatyczną postać z gołąbką na ramieniu: to Duch Święty podszeptujący papieżowi niebiańskie melodie.

Gdy Polska w X wieku otwierała księgę swoich dziejów, to otwierała księgę w języku łacińskim. Dzięki temu Polska stać się miała *łacińską drzazgą wbitą w zdrowe ciało Słowiańszczyzny* – jak twierdzili z nienawiścią ideolodzy wielkorusczy. Pierwsze pieśni śpiewane w kościołach na ziemiach polskich były więc hymnami łacińskimi. Począwszy od początku XIII wieku coraz częściej w obrzędach kościelnych gości słowo polskie.

Pierwszymi tekstami śpiewanymi po polsku były: *Wyznanie wiary, Modlitwa Pańska, Pozdrowienie anielskie*. Wiek XIV przynosi nam arcydzieło literackie i muzyczne *Bogurodnicę*. Ową *patrium carmen* (pieśń ojczystą) – jak ją pięknie nazwał Jan Długosz – śpiewało rycerstwo polskie pod Grunwaldem, pod Warną, pod Wiedniem i Parkanami. Była najdłużej żyjącym naszym hymnem narodowym. W naszych czasach jest śpiewana codziennie w czasie Apelu Jasnogórskiego.

Bogurodzica dała dobry początek. W ciągu wieków zasób polskich „pieśni nabożnych” – bo tak je nazywano – rósł wszcz, w głąb i wzwyż. Wiek XVI i następne przyniosły bowiem ogromny rozkwit polskich pieśni religijnych we wszystkich ich gatunkach.

W 1620 r. ukazał się polski przekład *Godzinek o Niepokalanym Poczęciu NMP* w trzy lata po ukazaniu się oryginału hiszpańskiego, które są popularną adaptacją liturgii godzin na użytek świecki; wkrótce zdobyły szeroką popularność (król Zygmunt III Waza odprawiał je codziennie). Podobną popularność zdobędą 100 lat później *Gorzkie żale (przyp. 1)* - rodzime arcydzieło poezji pasyjnej. Wydany w Krakowie w 1801 roku staraniem ojca Pankracego Folwarskiego (1758-1810), gwardiana klasztoru w Leżajsku, *Śpiewnik* zawierał teksty ponad tysiąca różnorodnych pieśni, między innymi: psalterz, hymny niedzielne, pieśni tematycznie związane z cyklem roku liturgicznego i porządkiem świąt.

Śpiewnik Folwarskiego może stanowić odskocznnię do podsumowania dorobku „polskiego” katolicyzmu, czy szerzej „polskiej” wiary i kultury w zakresie śpiewu kościelnego i muzyki kościelnej. Nasza pieśń kościelna jest przecież emanacją polskiej lokalności ożenionej z chrześcijańskim uniwersalizmem, jest destylatem polskiej ziemi, polskiej historii i polskiego losu.

Żaden podobno naród nie może się pochłubić takim zbiorem jak kantyczki polskie. Autorowie zawartych w nim pieśni nabożnych są niewiadomi, byli to, jak się zdaje, duchowni

niżsi i kantorowie szkótek. Sa jednak ślady, że i wielcy pisarze dorzucili tu później kilka hymnów. Kantyczki obejmują cały rok kościelny i podług niego dzielą się na Adwentowe, pieśni o Narodzeniu Pańskim, o Męce Pańskiej, o Zmartwychwstaniu. Uczucia w nich wydane, miłości i czci Matki Dziewicy ku swemu Synowi, są tak delikatne, tak czyste, niebiańskie, że tłumaczyć je prozą byłoby to znieważać świętość. Sa w ich rzędzie hymny, które zasługiwałyby na pierwsze miejsce w poezji narodowej – mówił profesor literatur słowiańskich w College de France Adam Mickiewicz.

A oto opinia profesora muzykologii, założyciela i pierwszego kierownika Instytutu Muzykologii Kościelnej KUL ks. Hieronima Feichta (1894-1967) wzięta z przedmowy do jubileuszowego wydania Śpiewnika kościelnego ks. Jana Siedleckiego:

O naszych polskich pieśniach kościelnych można śmiało twierdzić, iż zawarły one w sobie całą dogmatykę katolicką i katolickie zasady moralności, obok całej historii życia dziecięcego P. Jezusa [...]. A poza treścią dydaktyczną, jakżeż obszerną skalę uczuć zawiera nasza polska pieśń kościelna, począwszy od uczuć naiwnej, niemal prostaczej pobożności, a skończywszy na subtelnych wzniesieniach duszy w dziedzinie ascezy czy może nawet mistyki. Ileż

zarazem odcieni, ile faz przejściowych tai się w polskiej pieśni kościelnej między treścią pochwalną a przebłagalną, dziękczynną a błagalną, radosną a żalną, między miłością a skruchą, ufnością a bojaźnią, w Wielkość Straszliwego Majestatu Bożego a wyznaniem nicości ludzkiej godnej pogardy!

Sędziwy wiek przytoczonych opinii – pierwsza pochodzi z 1843, druga z 1928 roku – nie odbiera im aktualności. Dotyczą bowiem utworów długiego trwania. W końcu *Płomień rozgryzie malowane dzieje, skarby mieczowi spustoszą złodzieje, pieśń ujdzie cało...* Rzeczywiście uszła cało: wiele pieśni, które śpiewamy dzisiaj w naszych kościołach mają metrykę starszą niż przytoczone wyżej opinie. Oczywiście rozrost pieśniowego świata Polaków nie zatrzymał się na wieku osiemnastym, choć polską pieśń czekały bardzo trudne czasy; wiek XIX był przecież wiekiem niewoli.

Wszelako pod obcym panowaniem wolny kiedyś Polak jak dobrze napisać może, kiedy mu ręce związane? Albo kto kiedy był za mówcę obranym, który się za każdym słowem zająknąć musi? Wolność to tylko w narodach rodziła wyrazy, jak sama śmiała, i kto się na wiele rzeczy oglądał, zapewne mało dobrych powiedział. Mądre słowa – bez dyskusji! Napisał je Franciszek Karpiński (1741-1825). I złamał pióro – przestał pisać wiersze.

Nie przypuszczał, że polskość i polszczyzna mogą istnieć bez państwa i giną jedynie wtedy, gdy ginie naród. Uważał, że jego pieśniom grozi w niewoli niechybna śmierć, skoro za sto lat nikt nie będzie już w stanie ich przeczytać. *Lekkie pióra nasze czyliż się zdołają ogromowi mocarstw, których po naszym podzieleniu wolą stosowną do ich interesu być musi, tak z wolna i język nasz polski zatracić, ażeby tym sposobem każdy z nas zapomniał tęsknić po narodzie swoim, a językiem i obyczajem przywykł do nowego, który go podbił* – pisał zrozpaczony poeta.

Paradoks historii polega na tym, że ten skrajny pesymizm dotyczący przyszłości polszczyzny wyznawał autor *Pieśni porannej, Pieśni wieczornej* i kolędy *Bóg się rodzi* – największych „szlagierów” w dziejach polskiej pieśni kościelnych. Żadne inne pieśni nie zdobyły nawet połowy popularności, jaką cieszyły się pieśni Karpińskiego. *Śpiewają ją [Pieśń poranną] – pisal dziewiętnastowieczny historyk literatury – starcy i dzieci, matki, ojcowie, parobcy i dziewczki – śpiewają ją w chatach i dworach – śpiewają ją nauczyciele z uczniami w szkołach przed rozpoczęciem lekcyj – śpiewają ją robotnicy w polu i ogrodach – śpiewają ją gospodynie przy szyciu, przędzeniu i innych zajęciach – słowem, gdy tylko pierwszy dnia brzask w naszej zawita krainie, już ona kraina jak długa jest i szeroka wzniosłą ową pieśnią dzwoni ku niebiosom.* (H. Tarczyński, *O wielkim naszym pieśniarzu Franciszku Karpińskim*, Warszawa 1879).

Historia tych pieśni zaczyna się od następującego listu Karpińskiego: *Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju. JP [an] Preys powróciwszy z Wilna na wakacje do Białegostoku, przywiózł mi od JW Pana Dobrodzieja najpiękniejsze wiersze łacińskie dla Nuncjusza napisane* – tymi słowy rozpoczynał swój list, pisany w pierwszych dniach sierpnia 1787 roku, Franciszek Karpiński. Adresatem listu był znany astronom, rektor Uniwersytetu Wileńskiego, Marcin Poczobutt. Dziękując za otrzymany wierszowany upominek nadawca rewanżuje się podobnym, pisze bowiem w *post scriptum*: *przyłączam moje pieśni[...], które tu zrobiłem i śpiewać je wkrótce w kościele będą*. Te pieśni to: *Pieśń poranna, Pieśń podczas pracy i Pieśń wieczorna*. Nie wiadomo jak długo trwało owo „wkrótce”. Być może nawet 5 lat. W każdym razie tyle lat czekały pieśni na druk; ukazały się w oficynie OO. Bazylianów w 1792 r. w Supraślu w tomiku *Pieśni nabożne*.

Pieśni rychło wyszły poza mury kościołów; nie przestając być nabożnymi stały się – jak to pięknie nazywano – przygodnymi, czyli pieśniami na wszystkie stosowne okazje. Dotyczy to szczególnie pieśni *Kiedy ranne wstają zorze*. Na rok przed *pamiętną wiosną wojny, wiosną urodzaju* czyli 19 lat od druku *Pieśni nabożnych* ranek w zaścianku Dobrzyńskich, według Pana Tadeusza, zaczynał się tak:

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,

Nucąc piosenkę: „Kiedy ranne wstają zorze” ...

Jeśli wziąć pod uwagę, że przekaz pieśni opierał się przede wszystkim na przekazie ustnym, to przejście pieśni z naw kościelnych pod strzechy zaścianków w ciągu lat 19-stu, należy uznać jako oznakę wczesnej niebywalej popularności.

Analizując wzrost popularności w ciągu dwóch wieków i trafienie spod strzech wieśniaczych na stronicę brewiarza, Igor Piotrowski, autor monografii *Pieśń i moc. Pieśni codzienne Franciszka Karpińskiego w kulturze polskiej XIX i XX wieku*, rozróżnia trzy kręgi popularności: kościelny, ludowy i publiczny. Ale niezależnie od tego czy pieśni były śpiewane w kościele, na podwórzu gospodarskim czy w szkole, czy śpiewała je rodzina, wioska lub batalion żołnierzy, zawsze były modlitwami wznoszonymi do Boga. Przyjrzyjmy się zatem sytuacjom modlitewnym, w których pieśń stawała się rzeczywistym nośnikiem prawdy życia.

W maju 1894 roku dla uczczenia setnej rocznicy powstania kościuszkowskiego wyruszyła z Warszawy piesza pielgrzymka do Częstochowy. Wśród pielgrzymów w większości pochodzenia włościańskiego znalazł się początkujący wówczas literat

Władysław Stanisław Reymont. Literackim efektem pielgrzymki jest opowiadanie *Pielgrzymka do Jasnej Góry*, które okazało się arcydziełem nowego gatunku literackiego – reportażu i debiutem książkowym przyszłego laureata nagrody Nobla. Bohaterami opowiadania są pielgrzymi, przyroda i śpiew. Oto dłuższy fragment opowiadania. Rzecz dzieje się w czasie pierwszego poranka:

Śpię w najlepsze, gdy mnie ktoś trzęsie i woła:

- Bracie trza się powstać.

To siostra obok śpiąca mnie budzi.

Przemykam oczy i opuszczam się w sen ocieźale. Boże! Jakbym spał jeszcze, ale zimno mnie przenika siarczyste i dzwonki ostrymi tonami dźwięczą, a przez szerokie szczeliny stodoły świt rzuca pasy światła. Rumor powstawań i ta świadomość, że iść trzeba, nie pozwalają mi zasnąć. Wstaję, i choć się trzęsę z zimna, idę w łączkę na drugą stronę drogi i pod wierzbami jasnozielonymi, w ciemnomodrej sadzawce czynię ablucję. Woda zimna jak lód, pali prawie, ale orzeźwia znakomicie.

[...]

Gromadzimy się pod krzyżem. Twarze mają senne i posiniałe od zimna, ubiory pogniecione, ale oczy błyszczą jasno. Wyniosły chłop w kapuzie mniszkiej, nasuniętej na głowę, o ostrych ascetycznych rysach twarzy, podnosi krzyż, ubrany już wiankiem świeżej zieleni, dzwoni i niskim głosem intonuje:

Kiedy ranne wstają zorze,

Tobie ziemia, Tobie morze.

I ten tłum prosty podchwytuje pieśń sercami i śpiewa ją z uniesieniem, przepotężnie mocnym głosem:

Tobie śpiewa żywioł wszelki...

Płyną głosy szeroką falą ku tym zorzom złocącym już pół horyzontu, rozsypują się kaskadą nad tą ziemią szeroką, brzmia nad chatami, przenikają w łany zbóż, i jakby rozpylone kołyszą się i rozsuwają w opalowej przestrzeni, dźwięczą w echach leśnych, w kwiatkach sadów, i jakby zasilone głosami przyrody wznoszą się hymnem pełnym mocy, i mówią o dobroci i potędze Pana, i rozpętane ze wszystkiego, co brudne, co nędzne, co przemijające – unoszą serca rzeszy nad światem. O, potężna to pieśń, potężna pięknem, jakiego jeszcze nie odczuwałem nigdy, i dopiero na

tle cudów wiosny, jakie są dookoła, i przez takich śpiewana, wywiera czar niesłychany.

Słońce wzeszło i rozrozumienia wszystko i wyzłaca.

Idziemy prędko, ale chciałoby się gdzie położyć w bruździe, w tych żytach kołyszących się i chciałoby się tylko patrzeć w błękit, słuchać pieśni skowronkowych, szumu drzew i zatapiać się w tej mocnej pieśni, co teraz dzwoni niby hejnał radości. Piersi wdychają wiosnę, a oczy błędzą rozmarzone... Mijamy lasy, aż kipiące od świergotu ptactwa, pola jak okiem sięgnąć przepysznie uprawne i zielone,, wioski, gdzie jabłonie w różowych pąkach całe, a grusze jak śniegiem obsypane kwiatami. Masy bzów dyszą wonią i stoją niby obłoki fioletowe. Jedenaście wiorst przechodzimy bez odpoczynku.

Pielgrzymka na Jasną Górę miała wpływ nie tylko na karierę literacką Reymonta; była także dla niego głębokim przeżyciem duchowym. Jeśli życie pisarza przyrównać do narracji jego największej powieści *Chłopi* rozpiętej między przywitalnym „Niech będzie pochwalony...”, a pożegnalnym „Ostańcie z Bogiem”, to pielgrzymka do Częstochowy była owym inicjalnym „Pochwalony”.

Dzięki Reymontowi „kościuszkowska” pielgrzymka warszawska trafiła na karty literatury, ale oczywiście *Pieśni codzienne* Karpińskiego nie raz pielgrzymowały na Jasną Górę. „O świcie *Kiedy ranne wstają zorze*, a wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy* rozbrzmiewały w powietrzu” – wspominało o pielgrzymce z 1906 roku, pierwszej po ogłoszeniu dekretu Piusa X o ustanowieniu święta Matki Boskiej Częstochowskiej.

W XIX stuleciu konkurentem Częstochowy jako celu pielgrzymek stał się papieski Rzym, szczególnie po upowszechnieniu się komunikacji kolejowej. W najdogodniejszej do pielgrzymowania sytuacji znajdowali się Polacy z zaboru austriackiego: mieli najbliżej do Włoch, mieszkali w kraju katolickim i cieszyli się względnie dużymi swobodami obywatelskimi. Z nich głównie rekrutowali się pątnicy polscy w Rzymie. Okazje do pielgrzymek tworzyły najczęściej okrągłe rocznice pontyfikatów i jubileusze kapłańskie papieży.

W 1888 roku papież Leon XIII obchodził jubileusz pięćdziesięciolecia święceń kapłańskich. Z tej okazji w pierwszych dniach kwietnia wyruszył z Krakowa do Rzymu pociąg z pielgrzymką „wszystkich stanów” liczącą 575 osób. Pielgrzymka zakończyła się sukcesem: papież przyjął na jednej wspólnej audiencji wiernych z trzech zaborów. Przebieg podróży jak i całego wydarzenia znamy z relacji (bardzo dokładnej) bernardyna ojca Czesława Bogdalskiego. Dowiadujemy się, na

przykład, że *Pieśń poranna* była w czasie pielgrzymki śpiewana dwukrotnie. Pierwszy raz, w trzecim dniu podróży, gdy muzyka dzwonów w Pordenone w regionie Friuli przebudziła pielgrzymów. Melodie dzwonów podobne były „do zgodnych chórów anielskich”, wymagały więc adekwatnej odpowiedzi:

Przejęci tą muzyką wieżową odkryliśmy głowy i z pełnych piersi zaśpiewaliśmy nasze prześliczne „*Kiedy ranne wstają zorze*„.

Następnego ranka czekały pielgrzymów jeszcze silniejsze poranne wzruszenia:

Zaledwie jednak brzaskiienne ukazały się na niebie, we wszystkich prawie wagonach zabrzmiała zaraz chórem pieśń nasza „*Kiedy ranne wstają zorze*”. Nigdy w życiu nie doznałem jeszcze silniejszego wrażenia, a zdaje mi się, że to było udziałem prawie pielgrzymów, kiedy wyrazom pieśni „*Tobie ziemia, Tobie morze*” odpowiadały kryształowe fale Adriatyku, nad którego brzegiem długo nasz pociąg przejeżdżał, a z drugiej strony ziemia włoska, szmaragdowa, strzelająca w niebo pąsowemi tulipanami, jakby wołała „*Bądź pochwalon Boże wielki!*”

Relacjonując pielgrzymki przedstawiamy *Pieśń poranną* w działaniu w sytuacjach odświętnych, a więc w sytuacjach niejako dla niej naturalnych. Sam autor oczekiwał przecież, że jego pieśni „śpiewać wkrótce w kościele będą”. A pielgrzymka jest przedłużeniem kościoła, bywa wręcz metaforą Kościoła. Tak więc pielgrzymi śpiewający *Kiedy ranne wstają zorze* to katolicy, którzy są Polakami. Znane są oczywiście sytuacje z odwróconą kolejnością przymiotów identyfikacyjnych tzn. gdy śpiewają Polacy, którzy są katolikami. Być może tych drugich jest więcej niż tych pierwszych. Oto jedna z sytuacji tego drugiego rodzaju.

Jest wiosna 1863 roku. W lasach kowieńskich obozuje oddział powstańczy dowodzony przez księdza Antoniego Mackiewicza. Zdarzenie opisuje jeden z partyzantów.

Słońce już weszło, kiedy dał się słyszeć głos piszczałki i wnet za tym komenda: „Do modlitwy”. Zachwycający to był widok tych kilkuset ludzi, doświadczonych w boju, klęczących z odkrytymi głowami. Przed nami, przed krzyżem i obrazem Matki Boskiej na chorągwi obozowej, klęczał ksiądz Mackiewicz i intonował: „Kiedy ranne wstają zorze”. Dokoła nas były puszcze rodzinne, a za nami był Bóg i przyszłość nasza.

Niestety przyszłość okazała się tragiczna i bardzo krótka.

Działalność oddziału zamarła jesienią 1863 roku, w grudniu został tracony na szubienicy dowódca oddziału.

Opisując przygody pieśni *Kiedy ranne wstają zorze* opisujemy tym samym „panoramę losu polskiego” (M. Wańkowicz) pieśń bowiem aktywnie brała udział we wszystkich naszych dziennych i nocnych sprawach. W czasie okupacji musiała więc trafić do obozów koncentracyjnych. Piękne świadectwo o tym daje ks. Tadeusz Gaik w książce *Byłem tam. Wspomnienia więźnia nr 27369 KL Auschwitz i nr 302833 KL Dachau*. Autor ukrywający się pod okupacyjnym pseudonimem „ks. Piotra” swoje wspomnienia spisał w trzeciej osobie. Oto fragment wspomnień opisujący ostatnią noc ks. Piotra w więzieniu tarnowskim przed wywiezieniem do Oświęcimia. Po wysłuchaniu spowiedzi współwięźniów, zmęczony, zasnął. Było już późno, gdy nagle

obudził go krzyk więźnia. Teraz spoglądał na okno. „Musi być godzina czwarta lub piąta rano” – pomyślał i zaczął odmawiać modlitwy poranne. Nagle drgnął i cały zamienił się w słuch. Z za okna doleciały go słowa pieśni:

„Kiedy ranne wstają zorze,

Tobie ziemia, Tobie morze,

Tobie śpiewa żywioł wszelki,

Bądź pochwalon, Boże wielki!”

Śpiewak musiał znajdować się na jednym z pięter więzienia, nad całą transportową, która była na parterze. Śpiew nie był mocny, wyciszały go mury, zamknięte okna i pomruki śpiących, ale ks. Piotrowi wydawało się, że ten śpiew niósł w sobie moc i potęgę, że był on jakby odgłosem wód spadających po pochyłości. Wydawało mu się, że ta pieśń i każde jej słowo niosło pocieszenie i pokrzepienie, radosną pewność, że dalej istnieje świat dobra i piękna.

Należy zastanowić się nad potęgą pieśni-modlitwy, która potrafi kruszyć mury, dodawać otuchy, mobilizować do walki, konserwować i przenosić w przyszłość określone wartości, być kodem wspólnotowym narodu, uparcie trwać w codzienności i odświętności Polaków. Każę także postawić pytanie: jaka będzie przyszłość pieśni Karpińskiego powierzających codzienność wieczności, stawanie się – wiecznemu bytowi, człowieczą nędzę – Bożemu miłosierdziu w zlaicyzowanym świecie w którym papieże muszą ogłaszać instrukcje *Musicae sacrae disciplina*, bo w ferworze „modernizacji” Kościoła tradycyjną muzykę liturgiczną zastępuje się muzyką, która pobudza wprawdzie nasz zmysł słuchu, ale nie dba o zrozumiałość przekazywanego słowa?

...Gdy myślę Ojczyzna - by zamknąć ją w sobie jak skarb. Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń, którą wypełnia - pisał Jan Paweł II w poemacie *Myśląc Ojczyzna...* A ponieważ Ojczyzna to nie projekt polityczny, choćby nawet najlepszy, nie projekt społeczny czy gospodarczy, ani żaden inny, a dziedzictwo, „pomnożyć i poszerzyć przestrzeń”, którą wypełnia skarb ojczyźniany, oznacza pomnażać dziedzictwo. Nasze pieśni kościelne są niewątpliwie częścią ojczyźnianego skarbu. Poszerzaniem przestrzeni są nowe pieśni. Ale jedynie te, które respektują dawność i rodzimość. Tylko bowiem rzeczy wywiedzione z tradycji są prawdziwie twórcze, oryginalne i skazane na długie trwanie.

Nie ma obawy, aby w tak poszerzonej przestrzeni skarbu ojczyźnianego *Pieśni codzienne* Franciszka Karpińskiego straciły swoją potęgę i moc.

[1] Pierwotny tytuł: „Snopek mirry z ogrodu Gietsemańskiego albo żalosne gorzkiej męki Syna Bożego podczas Postu Wielkiego na passyjach około godzin nieszpornych po południu rozpamiętywanie dla zapalenia miłości serc ludzkich ku niewinnej Męce Pana i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa oraz ku Przenajświętszej Maryi Pannie Bolesnej”.

Stefan Król – *kanadyjski fizyk, felietonista.*

**Za udostępnienie materiałów dziękujemy żonie autora,
pani Mariannie Król z Kanady.**

Redakcja

Filmy dokumentalne na temat przemian w Polsce lat 80. i 90.

XV Festiwal Polskich Filmów w Austin, Teksas



Kadr z filmu „My, Naród”, Ronald Reagan i Lech Wałęsa
„MY, NARÓD,,

**Film dokumentalny, 2019 (58 min.), dostępny on-line 14 -
20 listopada 2020 r. na platformie APFF, na terenie USA.**

Reżyseria: Ewa Ewart, **scenariusz:** Jacek Stawiski,
zdjęcia: Mateusz Kruszelnicki, Maciej Grubiak,
muzyka: Szymon Nidzworski.

W filmie została pokazana historia trzydziestu lat polskiej transformacji, zapoczątkowanej częściowo wolnymi wyborami do parlamentu, opowiedziana z zachodniej perspektywy, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką Stany Zjednoczone odegrały w tym procesie.

Historyczne wybory 4 czerwca 1989 roku doprowadziły do upadku komunizmu nie tylko w Polsce, ale także wywołały efekt domina w całym regionie – od obalenia Muru Berlińskiego po rozpad Związku Radzieckiego.

W listopadzie 1989 r. Lech Wałęsa, którego kluczowa rola w tym procesie jest niekwestionowana, a który później stał się pierwszym prezydentem postkomunistycznej Polski, wygłosił historyczne przemówienie w amerykańskim Kongresie. Pokazana jest niezwykle ciekawa postać tłumacza Lecha Wałęsy, dziennikarza Jacka Kolabińskiego.

Lech Wałęsa był jedynym Polakiem i trzecią osobą w historii Ameryki, która przemawiała jako prywatny obywatel.

Film ujawnia nieznane kulisy słynnego wystąpienia Lecha Wałęsy w Kongresie USA w 1989 r. oraz unikalny, zapomniany i nie pokazywany wcześniej materiał archiwalny.



Kadr z filmu „My, Naród”



Ewa Ewart

EWA EWART

Jest absolwentką iberystyki Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 80. XX wieku pracowała jako tłumaczka i dziennikarka dla hiszpańskiej agencji prasowej EFE z siedzibą w Warszawie. Po wyjeździe z Polski w połowie lat 80., kontynuowała współpracę z EFE w Londynie.

W latach 1985-1990 przebywała w Waszyngtonie, gdzie m.in. była korespondentką Sekcji Polskiej radia BBC i nadawała reportaże o procesie przemian w Europie Wschodniej z perspektywy amerykańskiej. W 1990 r. przeniosła się do Moskwy, gdzie pracowała jako producentka newsów dla amerykańskiej stacji telewizyjnej CBS.

W 1993 r. powróciła do Wielkiej Brytanii i podjęła pracę w telewizji BBC w Londynie. Pracowała dla flagowych programów dokumentu społeczno-politycznego, takich jak *Assignment*, *Correspondent* oraz *This World*.

Jest wielokrotnie nagradzaną reżyserką i producentką filmów dokumentalnych. Specjalizuje się w filmach przełomowych, zrealizowała wiele dokumentów śledczych, politycznych oraz programów poruszających kwestie społeczne.

W 2009 r. otrzymała nagrodę im. Andrzeja Woyciechowskiego za cykl: „Dokumenty Ewy Ewart” emitowane w TVN24. Jest laureatką nagrody Wiktor za rok 2009 w kategorii: twórca

najlepszego programu telewizyjnego.



„AMNEZJA„

Film dokumentalny, 2019 (41 min.), dostępny on-line 14 - 20 listopada 2020 r. na platformie APFF, na terenie USA.

Scenariusz i reżyseria: *Maciej Kuciel*, **zdjęcia:** *Piotr Wacowski, Witold Nogieć*, **muzyka:** *Wojciech Borek, Bartosz Gwóźdź, Grzegorz Zmarz.*

Kazik, Muniek i Liroy. Trzech muzyków obserwujących i prezentujących przez ostatnie 30 lat polską rzeczywistość w dokumencie TVN „Amnezja” opowiada subiektywną wersję historii. Na podstawie życiowych doświadczeń, obserwacji sceny politycznej, z perspektywy trzech dekad pokazują sukcesy i porażki uwolnionego od komunizmu kraju.

Teledyski, unikatowe archiwalia Instytutu Pamięci Narodowej, zdjęcia agencyjne i prywatne oddają atmosferę minionych lat. Do dzisiaj rozgrzewające emocje polityczne rozmowy opozycji z komunistami w Magdalence i przy okrągłym stole, pierwszy niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki, rodzący się na straganach polski kapitalizm i inne wydarzenia tych czasów połączone z bezkompromisowymi tekstami bohaterów dokumentu tworzą konstrukcję filmu.

Od przełomowego 1989 roku obserwowanego przez Muńka z perspektywy zarobkowego emigranta, poprzez rodzący się kapitalizm widziany z kieleckiego osiedla przez rapera Liroya aż po rozpad strony opozycyjnej na dwa zaciekle zwalczające się plemiona, o którym śpiewa Kazik.



dr z filmu „Amnezja”, Kazik (z lewej)



Kadr z filmu „Amnezja”, Liroy



Reżyser Maciej Kuciel

MACIEJ KUCIEL

Z wykształcenia jest inżynierem o specjalności fizyka medyczna i dozymetria; dziennikarz, od 17 lat związany z telewizją TVN i jej programami interwencyjnymi oraz śledczymi Uwaga! i Superwizjer. Współpracował z krakowskim dodatkiem „Gazety Wyborczej”, działem prawnym „Rzeczpospolitej” i Radiem Kraków. W 2009 roku wspólnie z Szymonem Jadczykiem został nagrodzony Grand Press w kategorii *news* za reportaż „Dobre, bo szwedzkie”. W 2012 roku wspólnie z Danielem Liszkiewiczem został nagrodzony przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich za cykl reportaży ujawniających przywiezienie do Polski z Ukrainy tysięcy ton rakotwórczych odpadów chemicznych.

Filmy historyczne na XV Festiwalu

Polskich Filmów w Austin

Zapraszamy widzów Festiwalu Polskich Filmów w Austin, do zapoznania się z prezentowanymi w tym roku filmami historycznymi. Będzie je można zobaczyć zarówno on-line na platformie APFF, jak i w sali kinowej w Austin. Wszystkie projekcje będą poprzedzone wstępem historyka Łukasza Jasiny. Więcej informacji:
www.austinpolsishfilm.com



Borys Szyc, jako Marszałek Józef Piłsudski w filmie Michała Rosy „Piłsudski”, fot. Jarosław Sosiński
„PIŁSUDSKI”

Dramat historyczny, 2019 r. (108 min.), dostępny on-line na platformie APFF Od 14 do 20 listopada 2020 r.

Scenariusz i reżyseria: Michał Rosa, **zdjęcia:** Piotr Śliskowski, **muzyka:** Stefan Wesołowski, **występują:** Borys Szyc, Magdalena Boczarska, Jan Marczewski, Maria Dębska, Józef Pawłowski, Tomasz Schuchardt i inni.

Jest rok 1901. Józef Piłsudski „Ziuk” (Borys Szyc) po brawurowej ucieczce ze szpitala psychiatrycznego ponownie staje na czele polskiego podziemia niepodległościowego. Nieugięty na polu walki, w życiu prywatnym poddaje się namiętności, rozdarty między dwiema kobietami jego życia – żoną (Magdalena Boczarska) i przyjaciółką, która zostaje jego drugą żoną (Maria Dębska). Przez zachowawczych członków Polskiej Partii Socjalistycznej uważany za terrorystę, Piłsudski wraz z najbliższymi współpracownikami nie cofa się przed niczym – zamachami na carskich urzędników i najwyższych oficerów, szmuglowaniem bomb, zuchwałym napadem na pociąg, by osiągnąć swój cel: niepodległą Polskę. Zbliża się rok 1914 i „Ziuk” widzi nowe szanse na osiągnięcie niemożliwego.

„Piłsudski” to nie tylko biografia wielkiego przywódcy, ale i kino akcji, które trzyma w napięciu.



Kadr z filmu Michała Rosy „Piłsudski”, fot. Jarosław Sosiński



Kadr z filmu Michała Rosy „Piłsudski”, fot. Jarosław Sosiński



Kadr z filmu Michała Rosy „Piłsudski”, Borys Szyc i Magdalena Boczarska, fot. Jarosław Sosiński



Kadr z filmu Michała Rosy „Piłsudski”, Borys Szyc i Maria Dębska, fot. Jarosław Sosiński

„LEGIONY”

Dramat historyczny, 2019 r. (140 min.), pokaz kinowy w Austin, niedziela 29 listopada 2020 r.

Reżyseria: *Dariusz Gajewski*, **scenariusz:** *Tomasz Łysiak, Dariusz Gajewski, Michał Godzin*, **występują:** *Sebastian Fabijański, Wiktoria Wolańska, Bartosz Gelner, Mirosław Baka, Jan Frycz, Borys Szyc i inni.*



Kadr z filmu Dariusza Gajewskiego „Legiony”, fot. Jacek Piotrowski

O FILMIE:

„Legiony” to opowieść o legionowym pokoleniu lat 1914-1916, które wywalczyło Polsce Niepodległość. Jest to kino przygodowe, zrealizowane przy użyciu

najnowocześniejszych technik filmowych. Opowieść o młodych ludziach, którzy nie wahali się, by rzucić się w wir walki o odzyskanie państwowości, ale także o tych, którzy dopiero zrozumieli, że tylko w wolnej Polsce zrealizują swoje marzenia.

Józek (Sebastian Fabijański), dezerterski z carskiego wojska, zostaje brutalnie pobity przez ścigających go żołnierzy i pozostawiony na pewną śmierć. Cudem odratowany przyłącza się jako pomocnik kucharza do formowanych właśnie oddziałów Legionów Polskich – ma nadzieję, że wraz z nimi dotrze do Łodzi. Kolejne wydarzenia wojenne powodują jednak, że włącza się do walki zbrojnej. Zaczyna również rywalizować z ułanem Tadeuszem Zbarskim (Bartosz Gelner) o serce młodej i ambitnej agentki wywiadu Oli (Wiktoria Wolańska) z Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego.

„Legiony” to uniwersalna historia o wchodzeniu w dorosłość w trudnych czasach, dojrzewaniu do wspólnoty. Wielka historia jest tłem dla rozgrywającej się na pierwszym planie historii miłosnej. Obok bohaterów fikcyjnych, których losy wzorowano jednak na życiorysach prawdziwych legionistów, w filmie pojawi się wiele postaci historycznych. Wśród nich: brygadier Józef Piłsudski (Jan Frycz), porucznik Stanisław Kaszubski ps. „Król” (Miroslaw Baka), rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz (Borys Szyg), porucznik Jerzy Topór-Kisielnicki (Antoni Pawlicki) i wielu

innych.



Kadr z filmu Dariusza Gajewskiego „Legiony”, fot. Jacek Piotrowski



Kadr z filmu Dariusza Gajewskiego „Legiony”, fot. Jacek Piotrowski

KIM BYLI BOHATEROWIE „LEGIONÓW”:

Stanisław Kaszubski, ps. Król (Mirosław Baka) – urodzony w 1880 roku syn powstańca styczniowego, działacz niepodległościowy, członek Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL). W czasie rewolucji 1905 roku prowadził działalność polityczną wśród młodzieży – wówczas też przybrał pseudonim „Król”. Złapany przez władze carskie został skazany na wygnanie z Imperium Rosyjskiego. Wtedy przeprowadził się do Krakowa, zaczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim i wstąpił do Związku Strzeleckiego – organizacji,

która stała się podstawą budowania struktur Legionów Polskich.

Gdy wybuchła wojna, Kaszubski trafił do oddziałów organizowanych przez Józefa Piłsudskiego. Znalazł się w 1 pułku piechoty I Brygady Legionów, pod koniec 1914 roku został mianowany na podporucznika. Po bitwie pod Łowczówkiem (23-25 grudnia 1914) trafił do niewoli. Jako obywatelowi rosyjskiemu została mu wymierzona kara śmierci za zdradę, choć Kaszubski dostał jednocześnie szansę na ułaskawienie, jeśli wstąpi do carskiej armii. „Król” odmówił i wyrok wykonano 7 lutego 1915 roku.

Zbigniew Dunin-Wąsowicz (Borys Szyc) – urodzony w 1882 roku. Rotmistrz Legionów Polskich. Zawodowy żołnierz, przed wojną służył w armii austriackiej, z której wystąpił w 1912 roku, by dołączyć do Związku Strzeleckiego. Był cenionym dowódcą, szkolił wstępujące do wojsk Piłsudskiego oddziały, sam dowodził 2 szwadronem ułanów II Brygady Legionów. Brał udział m.in. w bitwach pod Cucyłowem (26 października 1914) i pod Mołotkowem (29 października 1914). Zginął 13 czerwca 1915 roku, dowodząc szarżą pod Rokitną, upamiętnioną w legionowym kuplecie „Pieśń Szwadronu Wąsowicza”.



Kadr z filmu Dariusza Gajewskiego „Legiony”, fot. Jacek Piotrowski



Kadr z filmu Dariusza Gajewskiego „Legiony”, fot. Jacek Piotrowski

Jerzy Topór-Kisielnicki (Antoni Pawlicki) – urodzony w 1878 roku, inżynier, absolwent Politechniki Lwowskiej. Wraz ze Zbigniewem Dunin-Wąsowiczem współtworzył 2 szwadron ułanów. Na początku 1915 roku awansowany na porucznika kawalerii. Po śmierci Dunin-Wąsowicza w czasie szarży pod Rokitną przejął dowodzenie nad szwadronem ułanów, lecz zginął krótko potem. Odznaczony pośmiertnie Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego Virtuti Militari w 1922 roku.

Józef Piłsudski (Jan Frycz) – naczelnik państwa, pierwszy Marszałek Polski. W czasie, gdy toczy się akcja „Legionów”,

zajmował się przede wszystkim tworzeniem organizacji paramilitarnych. W sierpniu 1914 roku ogłosił się komendantem wojsk polskich, podległych utworzonemu w Warszawie Rządowi Narodowemu. Wtedy jego działania nie spotkały się z entuzjazmem polskich polityków. Gdy Piłsudski z 1. Kompanią Kadrową wkroczył na terytorium zaboru rosyjskiego, wywołał popłoch wśród mieszkańców, przekreślając szansę na planowane powstanie przeciwko zaborcom. W październiku 1914 roku zainicjował powstanie Polskiej Organizacji Wojskowej, tajnego zrzeszenia działającego we wszystkich zaborach, którego został komendantem głównym. W listopadzie został mianowany brygadierem, a pod koniec roku został dowódcą I Brygady Legionów Polskich. Osobiście dowodził wojskiem w licznych bitwach na froncie wschodnim. W sierpniu 1916 roku złożył dymisję z dowództwa - był to protest przeciwko działaniom rządu Austro-Węgier, unikającego zaangażowania w odbudowę niepodległego państwa polskiego.



Marek Probosz jako Rotmistrz Pilecki w filmie Ryszarda Bugajskiego „Śmierć Rotmistrza Pileckiego”
„ŚMIERĆ ROTMISTRZA PILECKIEGO”

Spektakl Teatru Telewizji, 2006 r. (86 min.), pokaz kinowy w Austin, niedziela 22 listopada 2020 r.

Scenariusz i reżyseria: Ryszard Bugajski, **muzyka:** Paweł Szymański, **występują:** Marek Probosz, Marek Kalita, Jacek Rozenek, Gabriela Muskała i inni.

Opowieść o losach rotmistrza Witolda Pileckiego - człowieka niezłomnego, jednego z najdzielniejszych i najbardziej ofiarnych

żołnierzy Rzeczypospolitej. Zasłynął z tego, że dał się aresztować i wywieźć do Auschwitz, aby tam zorganizować ruch oporu. Paradoks tych czasów polega na tym, że najwięksi bohaterowie są po wojnie oskarżeni, osądzeni i skazani jak przestępcy. Na sali sądowej, w pokojach przesłuchań, gabinetach sędziego i prokuratora, w celi więziennej przy Rakowieckiej rozgrywa się tragedia rotmistrza oskarżonego o szpiegostwo na rzecz wrogiego mocarstwa i planowanie zamachów na wysokich urzędników państwowych. Skatowany przez oprawców UB, jest cieniem dumnego oficera, ale nie daje się złamać. Do końca, w pokazowym procesie, stara się osłaniać innych oskarżonych i pozostaje wierny temu, co uważał za najważniejsze: Bogu, Honorowi, Ojczyźnie.

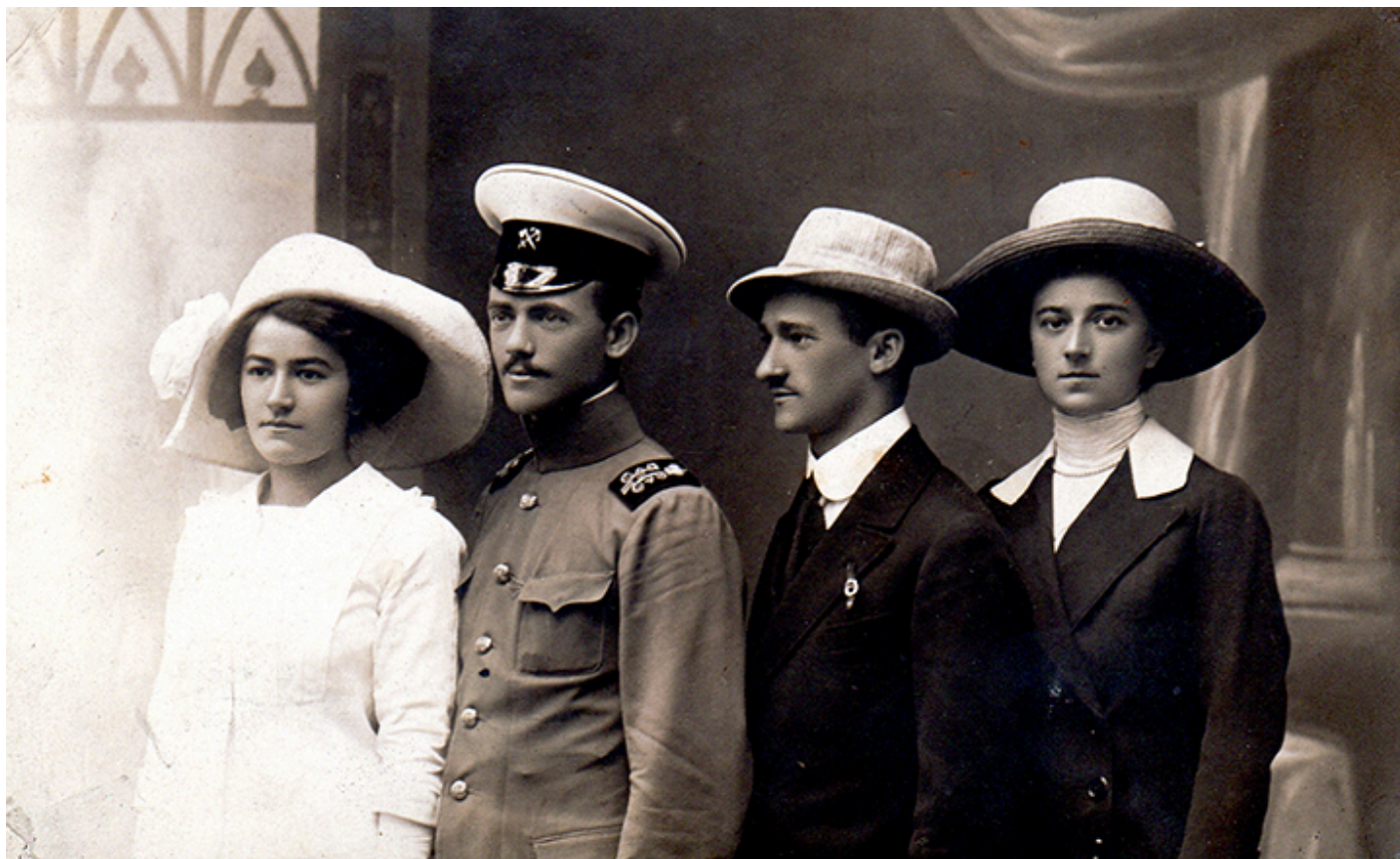


Scena na sali sądowej w filmie Ryszarda Bugajskiego „Śmierć Rotmistrza Pileckiego”



Marek Probosz jako Rotmistrz Pilecki i Gabriela Muskała, jako jego żona Maria Pilecka, w filmie Ryszarda Bugajskiego „Śmierć Rotmistrza Pileckiego”

Zapomniane medale



Dziadek Wincenty Sokołowski (drugi z prawej) z siostrami Marią z Sokołowskich Kawińską (pierwsza z lewej) i Janiną Sokołowską (pierwsza z prawej oraz mężem siostry Marii – Wacławem Kawińskim (drugi z lewej), fot. arch. rodzinne **Joanna Sokołowska-Gwizdka** (Austin, Teksas)

Corocznie 11 listopada obchodzimy Narodowe Święto Niepodległości dla upamiętnienia tego ważnego dla Polski dnia, kiedy staliśmy się ponownie niezależnym państwem po 123 latach zaborów (1795-1918). Święto zostało ustanowione, jako święto państwowe w 1937 roku (wcześniej było świętem wojskowym), zniesione zostało w 1945 roku i przywrócone w 1989 r. Odzyskanie niepodległości było długim procesem, kosztowało wiele ofiar i przelanej krwi. Ile było zrywów wolnościowych, które skończyły się klęską, represji, zsyłek na

Syberię. Niemal każda polska rodzina poniosła większe lub mniejsze straty. Nie mniej jednak Polacy nigdy nie zapomnieli, że są odrębnym narodem, przetrwał język, narodowe i religijne tradycje, następnym pokoleniom przekazywane były opowieści o bohaterach. Z wypiekami na twarzy czekano na nowy odcinek „Trylogii” Henryka Sienkiewicza, napisanej „ku pokrzepieniu serc”. Powstało wtedy wiele motywujących prac, które miały dać nadzieję, że „jeszcze Polska nie zginęła”. Przetrwaliśmy więc jako naród i doczekaliśmy się wymarzonej niepodległości. A historię rodzin, które przyczyniły się do jej odzyskania, przykryła patyna czasu.

W październiku 2020 r. dostałam od brata email: w skrzynce z gwoździami i szpargałami znalazłem przez przypadek miniaturki Medalu Niepodległości i Złotego Krzyża Zasługi. Czy przychodzi ci do głowy, kto w naszej rodzinie dostał tak wysokie odznaczenia za udział w odzyskaniu niepodległości?



Medal Niepodległości (z lewej, przód) - na Medalu jest napis
Bojownikom Niepodległości i Złoty Krzyż Zasługi (przód)



Medal Niepodległości (z prawej, tył) i Złoty Krzyż Zasługi (tył)
Medal Niepodległości i Krzyż Zasługi

Medal Niepodległości był nadawany w latach 1930-1938, nawet

pośmiertnie, za udział w walkach narodowowyzwoleńczych. Został ustanowiony rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej w celu „odznaczenia osób, które zasłużyły się czynnie dla niepodległości Polski w okresie przed wojną światową lub podczas jej trwania oraz w okresie walk orężnych polskich w latach 1918-1921”. Odznaczenie nadawał Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na podstawie wniosku Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości. Komitet ten składał się z pierwszych dziesięciu osób wyróżnionych Krzyżem Niepodległości (Józef Piłsudski, Aleksandra Piłsudska, Walery Sławek, Wacław Jędrzejewicz, Kazimierz Sosnkowski, Edward Rydz-Śmigły, Julian Stachiewicz i inni). W roku 1930 przyznano odznaczenia weteranom powstań narodowych. Polegli i zmarli powstańcy 1863 roku zostali odznaczeni przez prezydenta RP Ignacego Mościckiego w 1933 r.

Nagradzany uzyskiwał wiele przywilejów. Medal i Krzyż Niepodległości dawały m.in. prawo wyborcze do Senatu, prawo do zniżki kolejowej, prawo pierwszeństwa dla dzieci przy przyjmowaniu do szkół państwowych i publicznych oraz do zwolnienia od opłat w tych szkołach, prawo zaliczenia do emerytury okresu działalności zmierzającej do odzyskania niepodległości, prawo pierwszeństwa przy obsadzaniu stanowisk w urzędach, prawo otrzymania pracy, a także prawo do ubiegania się o rentę ze Skarbu Państwa dla siebie, a po śmierci odznaczonego, rentę tę mogły otrzymać jego dzieci oraz rodzice.

Krzyż Zasługi (z literami RP), jest polskim cywilnym odznaczeniem państwowym, nadawanym od 1923 r. do dziś. Początkowo było to najwyższe odznaczenie dla osób, które po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wyróżniły się w pracy dla kraju i społeczeństwa, poza swoimi codziennymi obowiązkami. Pierwsza zbiorowa dekoracja Krzyżem Zasługi odbyła się z okazji piątej rocznicy odzyskania niepodległości 11 listopada 1923 roku.

Zarówno Medal Niepodległości, jak i Krzyż Zasługi były duże, nagrodzony trzymał odznaczenia w pudełku wyłożonym aksamitem i przechowywał w domu. Razem z odznaczeniem otrzymywało się też jego miniaturkę ze wstążką, którą można było przypiąć do munduru lub uroczystego ubrania. I właśnie takie dwie miniaturki odznaczeń znalazł mój brat w skrzynce z gwoździami. Było to dla nas motywacją, żeby przyjrzeć się niepodległościowym losom naszej rodziny.

Paweł Sokołowski - kampania napoleońska i Powstanie Listopadowe

Paweł Sokołowski to nasz trzy razy pradziadek. W dokumentach rodzinnych zachował się jego życiorys z 1829 roku, kiedy starał się o pracę „officyalisty skarbowego” w Warszawie. Pisał wtedy:

Urodziłem się w r. 1770 we wsi Petranie, Obwodzie Lityńskim, Gubernii Kamienieckiej, Państwie Rosyjskiem, z rodziców Szlachty ...

Petranie to wieś położona na wschód od miasta Bar. Z lustracji szlacheckiej z 1802 r. wynika, że ojciec Pawła, Bazyli, był Kawalerem Barskich Eskadronów. Nauki Paweł Sokołowski pobierał w Barze. Kiedy w 1809 roku Austria napadła na Księstwo Warszawskie, Paweł Sokołowski zaciągnął się do 3 Pułku Jazdy Konnej. W wojnie tej został poważnie ranny, o czym dalej pisze w swoim życiorysie. Później był oficjalistą w lazarecie w pałacu Jabłonowskich, następnie pracował w magazynie w Krotoszynie i w magazynie żywności w Toruniu (był to centralny magazyn wojsk Księstwa Warszawskiego).

W 1812 roku został powołany przez sztab na „dozorcę służby polowej” w wojnie z Rosją. Od 1814 był dyrektorem lazaretu w pałacu Sapiehów przy ul. Zakroczymskiej w Warszawie. Od 1817 roku pałac stał się koszarami 4 Pułku Piechoty, a Paweł Sokołowski pojechał do pracy w województwie kaliskim. Najprawdopodobniej jego kolegą w kampanii napoleońskiej był „Urodzony” (to znaczy pochodzenia szlacheckiego) Jan Długołęcki ze Stawiszyna, a poznanie jego córki, 29 lat młodszej Faustyny Długołęckiej spowodowało, że zdecydował się pozostać na terenie Królestwa Polskiego. W 1818 roku poślubił Faustynę

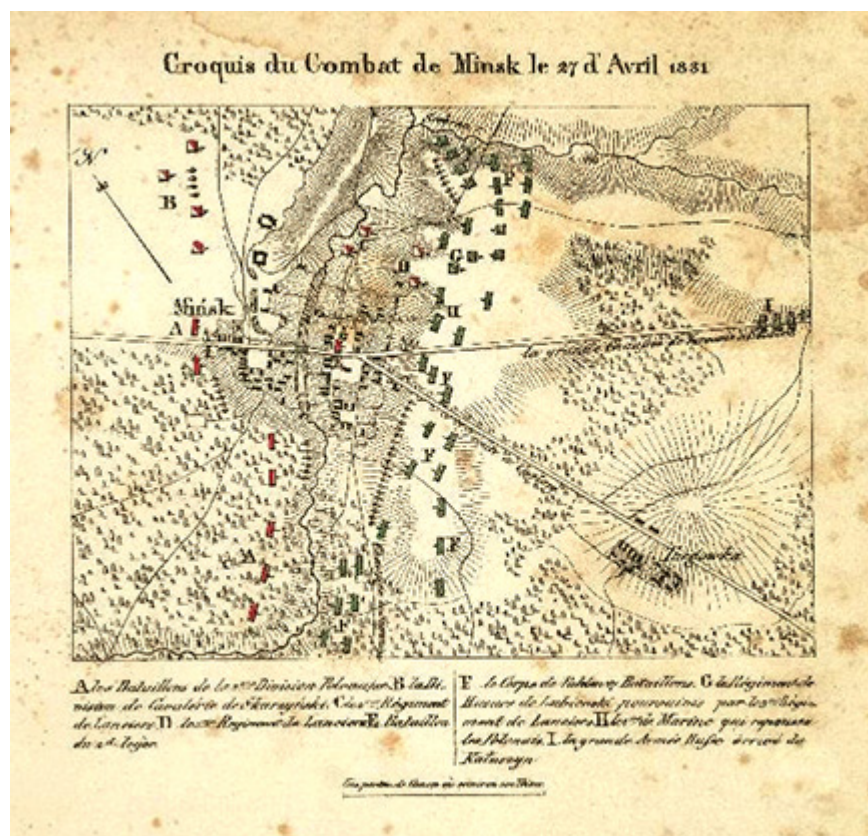
urodzoną w 1799 w Stawiszynie. Tam w 1823 roku przyszedł na świat Januariusz Sokołowski, nasz dwa razy pradziadek. W akcie urodzenia widnieje:

Urodzony Paweł Sokołowski dzierżawca gruntów rolnych, w Słupcy zamieszkały, okazał nam dziecię płci męskiej, które urodziło się w Słupcy w domu pod numerem 217, dnia 19 września roku bieżącego. Oświadczając, iż jest spłodzony z niego i Faustyny z Długoleńskich lat 26 mającej, jego małżonki, iż życzeniem jego jest nadać mu imię Januariusz.

Natomiast z aktu zgonu syna Jasia Sokołowskiego, który zmarł w Wigilię 1829 roku wynika, że Paweł Sokołowski mieszkał już wtedy w Warszawie przy ulicy Nowolipki pod numerem 2391.

W naszych dokumentach rodzinnych jest też list z maja 1831 roku od Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego, ministra wojny podczas Powstania Listopadowego, do Faustyny Sokołowskiej, wdowy po byłym oficerze. Czyli w maju 1831 roku Paweł Sokołowski już nie żył. Za kilka lat Faustyna ponownie wyszła za mąż i z aktu ślubu dowiadujemy się, którego dokładnie dnia zginął Paweł Sokołowski. Akt z dnia 27/06/1835 roku, przedstawia, że:

Urodzony Wawrzyniec Szeligowski urodzony w Szeligach w powiecie łomżyński, województwie augustowskim, poślubił Urodzoną Faustynę Sokołowską, wdowę po zmarłym w **dniu 26 kwietnia 1831** roku Pawle Sokołowskim, zamieszkałą w Turku, 36 lat liczącą.



Od grudnia 1830 r. pod Mińskiem rozlokowana była brygada gen. Franciszka Morawskiego. (...) Dnia 26 kwietnia w południe pod Mińskiem doszło do bitwy między wydzielonymi oddziałami rosyjskimi, a polską strażą tylną złożoną z 2 Dywizji Piechoty gen. Antoniego Giełguda i korpusem rezerwowym kawalerii gen. Kazimierza Skarżyńskiego. (...) O godzinie 11 wojska rosyjskie zaatakowały polskie pozycje obronne: stojące przed Mińskiem dwa pułki – 2 strzelców konnych i 3 ułanów – pod dowództwem gen. Kickiego. (...) Sam Kicki w liście do żony Natalii z 27 IV 1831 r. tak opisuje starcie z nieprzyjacielem: „Pod Mińskiem ze wszystkich stron nieprzyjaciel mnie otoczył. Biłem się z rozmaitym szczęściem. Dowodziłem dnia tego drugi pułk szaserów należących do kawalerii i trzeci ułanów. Trzeci pułk ułanów jak mur wytrzymał pierwszy atak Moskali. Następnie ułani krzyknęli: «Niech żyje nasz generał, niech nas do szarży prowadzi!» W pełnym galopie na ich czele wpadam na moskiewską piechotę i rozpraszam ją. (...) Ułani moi dzielnie się bili”.

Ponieważ w wojnie napoleońskiej Paweł Sokołowski był ułanem, można by wnioskować, że i w tej bitwie, brał udział, jako oficer jazdy konnej. Przekazy historyczne podają, że pod Mińskiem zginęło po stronie powstańców ok. 300-400 osób, w tym jeden oficer i dwóch podoficerów. Tym oficerem był

najprawdopodobniej Paweł Sokołowski - nasz trzy razy pradziadek.

Śmierć męża w Powstaniu Listopadowym najwyraźniej spowodowała, że Faustyna Sokołowska szybko poprosiła o pomoc ministra wojny Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego. Na co minister jej osobiście odpisał i to już 7 maja 1831 roku, czyli zaledwie 11 dni po bitwie pod Mińskiem:

N^{ro} 25862.
3382.

w Warszawie dnia 7 Mca Maja Roku 1831.

DYREKCJA 1^a

WYDZIAŁ Angielski i Niemiecki

Biuro Amimino

Kommissya Rządowa Woyny

Pani Faustyny Sokołowskiej, Wdowy po byłym Oficerze,
później Oficyaliście Skarbowym w Warszawie. -

Uwiedomienia Burzacji i dwaj Synowie ich: Tomasz i Januareusz
pozycją zostali do szkoły Dnia Wojkowskiego - Polubas zatem aby mło-
dzimcy ci, odpowiedziani zostali do równey szkoły, i Kommissarzem ich,
Majorowi Szawarskiemu byli przedstawieni. -

Annexa w idnym pliku wracają się. -

Minister Woyny.

Generał Mraicchi

Dyrektor Generalny.

Secretair Generalny.

T. S.

Archiwum rodzinne

Kommissya Rządowa Woyny

Do J Pani Faustyny Sokołowskiej, wdowy po byłym oficerze,
później oficyaliście skarbowym w Warszawie

Uwadamia się Panią iż dwaj synowie iej Tomasz i
Januariusz przyjęci zostali do Szkoły Dzieci Woyskowych –
Potrzeba zatem, aby młodzieńcy ci, odprowadzeni zostali do
rzeczonej Szkoły i Kommendantowi oney Majorowi
Szajewskiemu byli przedstawieni.

Portrety w zbiorach rodzinnych



Januariusz Sokołowski



Anna z Dreszerów Sokołowska

Januariusz Sokołowski - Powstanie Styczniowe

O Januariuszu Sokołowskim, naszym dwa razy pradziadku, niewiele wiemy i niewiele udało się ustalić. Wiemy, że mieszkał w Koninie i pracował tam m.in. w radzie miejskiej. Z legend rodzinnych wynika, że brał udział w Powstaniu Styczniowym, po klęsce Powstania ukrywał się w grobowcu, ale i tak go Rosjanie znaleźli. Został skazany i wywieziony na Syberię. Ponoć jego

żona, Anna z Dreszerów, dostała się na Syberię, zostawiwszy dzieci u krewnych i wywiozła męża jako zmarłego. Po powrocie Januariusz z żoną i dziećmi osiedlili się w Piotrkowie Trybunalskim. Jednak nie znaleźliśmy żadnego potwierdzenia w spisie powstańców województwa konińskiego o udziale w Powstaniu Januariusza, a na liście wywózek na Syberię jest jedynie 27-letni wikariusz z pobliskiej parafii – Xawery Klass. Jednak w kilku rodzinach ta sama historia była powtarzana z pokolenia na pokolenie. Jedyną wskazówką, że Januariusz miał kilkuletnią przerwę w życiorysie, jest to, że po upadku Powstania nie ma żadnych wzmianek w księgach metrykalnych, tak jakby w tym czasie był nieobecny na polskich terenach. Z Piotrkowa Trybunalskiego pochodzą też portrety, które są do tej pory w rodzinie. Jest na nich Januariusz Sokołowski z żoną Katarzyną. Historyk sztuki, znająca się na malarstwie portretowym tego okresu, oceniła, że portrety zostały namalowane po upadku Powstania Styczniowego, bo przedstawione tam postacie są w żałobie. Tak wtedy portretowano uczestników powstania, bądź członków ich rodzin. Prawie każda rodzina w Polsce straciła wówczas kogoś bliskiego. To wtedy powstała tradycja, pustego miejsca przy wigilijnym stole.



Syn Januariusza Sokołowskiego, Mieczysław Sokołowski (siedzi z szablą) z żoną, Antoniną z Leżańskich – rodzice Wincentego Sokołowskiego, fot. arch. rodzinne

Dziadek Wincenty Sokołowski - Legiony

Nasz dziadek, Wincenty Sokołowski, syn Mieczysława, a wnuk Januariusza urodził się w Piotrkowie Trybunalskim w 1888 r. Brał udział w strajku szkolnym w 1906 roku w Piotrkowie. Skończył Politechnikę we Lwowie – wydział leśnictwa. W naszych dokumentach rodzinnych została notatka, że w latach 1914-1916 był więziony w obozie jenieckim na terenie Austrii w miejscowości Hainburg an der Donau. Mojemu tacie opowiadał,

że ciężko było w tym obozie, że jak przyszła epidemia, to tylko nieliczni przeżywali, nie było środków medycznych, pomocy lekarskiej, panował głód.

Dwa lata temu wracając z Chorwacji, chciałam koniecznie zobaczyć to miasteczko. Położone blisko granicy ze Słowacją, malownicze, bajkowe, tonące w kwiatkach, z kolorowymi kamienicami, otoczone górami, z pięknymi trasami wycieczkowymi nad Dunajem, naprawdę robiło wrażenie. I zapewne niewiele osób wie, że w okresie I wojny światowej był tam obóz jeniecki. Teraz nie ma po nim śladu, żadnej tablicy pamiątkowej, czy innej informacji. Austriakom widać nie zależy na zachowywaniu takiej historii.

A wracając do dziadka, czyżby był w Legionach? Obóz jeniecki był dla wojskowych, do obozów jenieckich w Austrii trafiało się m.in. za odmowę przysięgi na wierność cesarzowi Franciszkowi Józefowi. A może był wzięty do niewoli po jakiejś przegranej bitwie? Tego nie wiemy.

Dziadek Wincenty Sokołowski był potem zarządca lasów w dobrach w Łochowie u hrabiów Zamojskich. Miał młodą żonę, Wacławę Żarską, pochodzącą z bardzo znanej, szlacheckiej i patriotycznej piotrkowskiej rodziny. Jednak w Łochowie wydarzyła się tragedia, Wacława zasnęła czytając książkę przy lampie naftowej, od lampy zapaliły się jej włosy i spłonęła, a wraz

z nią dwór, w którym mieszkali. Hrabia Zdzisław Zamojski napisał dziadkowi list z kondolencjami i propozycją, że jeśli chce, może nadal zostać w Łochowie. Ale dziadek odmówił. Widać to miejsce za bardzo przypominałoby mu tragedię. Do Łochowa przyjeżdżało wówczas wielu przedstawicieli nowo powstającego rządu polskiego na polowania i dziadek musiał tam dostać propozycję objęcia stanowiska nadleśniczego w lasach państwowych. Od 1921 roku został nadleśniczym w Nadleśnictwie Lidzbark koło Działdowa. Przyjeżdżali tam też polscy ministrowie i dyplomaci wraz z zagranicznymi gośćmi na polowania. Dziadek znał kilka języków, co ułatwiało komunikację.



Dziadek Wincenty Sokołowski z babcią Anną w Nadleśnictwie Lidzbark, lata międzywojenne, fot. arch. rodzinne

W Lidzbarku Welskim poznał swoją drugą żonę, a naszą babcię, Annę z Kopiczów. Była ponad dwadzieścia lat młodsza i też była wdową. Nazywała się wtedy Plucińska. Była dobrze wykształcona, biegle mówiła kilkoma językami. Tam na świat przyszedł nasz tata, Jerzy Andrzej i jego siostra Maria Antonina. W sierpniu 1939 roku w Lidzbarku Welskim stacjonował generał Władysław Anders ze swoim wojskiem. Odwiedzał wówczas Nadleśnictwo i mojego dziadka, bo z opowieści rodzinnych wiadomo, że w albumach była fotografia generała Andersa z moim małym tatą na rękach.

Po wybuchu wojny, do Nadleśnictwa wkroczyli Niemcy. Dziadek z rodziną przeniósł się do Radomia, a potem wrócił do miejsca swojego urodzenia, czyli do Piotrkowa Trybunalskiego.

Dziadek Wincenty zmarł, kiedy miałam trzy lata, jedyne co pamiętam, jak przez mgłę, to jego głos, płaszcz podbity futrem – taki sam jak nosił Paderewski i batonik, który miał dla mnie ukryty pod poduszką, jak go odwiedzałam z rodzicami, gdy był już bardzo chory.



Prababcia Agnieszka z Danilewiczów z mężem i dziećmi w Lidzbarku Welskim, dziewczynki z lewej – niżej, moja babcia Anna, wyżej Maria, fot. arch. rodzinne

Józef i Kazimierz Danilewicz - Powstańcy Styczniowi na Wileńszczyźnie

Jak już pisałam dziadek Wincenty Sokołowski, ożenił się z naszą babcią Anną z Kopiczów Sokołowską. Anna była córką Agnieszki z Danilewiczów herbu Ostoja. Prababcię Agnieszkę pamiętam w miarę dobrze, spotykałam ją jak miałam kilkanaście lat. Mówiła

do mnie - my jesteśmy Danilewicze, nie Danielewicze, bo pochodzimy od Daniły, kniazia litewskiego. Jednak nazwisko często zmieniano, ze względu na łatwiejszą wymowę i forma ta wymiennie pojawia się w dokumentach. Prababcia znała kilka języków i sprowadzała gazety przez rodzinę z Londynu, żeby się dowiedzieć co na świecie się dzieje, bo „komuniści kłamią”. Bardzo interesowała się polityką światową, przeżyła tyle wojen, że orientacja w polityce wydawała jej się niezbędna do życia. Jak ją odwiedzałam z rodzicami, miała już ponad 90 lat, ale wciąż miała energię, świetną pamięć i sprawny umysł.

Prababcia Agnieszka była córką Józefa Danilewicza. Józef wraz z bratem Kazimierzem byli powstańcami styczniowymi na Wileńszczyźnie. Powstanie stłumił gubernator Michaił Murawiew, zwany „Wieszatielem”. Zapewne Józef i Kazimierz Danilewicz uciekli przed represjami ze strony gubernatora. Chcieli zmienić zabór, a najbliższej były Prusy Wschodnie, z zamieszkującymi te tereny Polakami oraz osadnikami z Niemiec i Austro-Węgier. Bracia osiedlili się w Lidzbarku Welskim. To tu, Józefowi w 1875 r. urodziła się córka - Agnieszka. Gdy dorosła i wyszła za mąż, swojemu pierworodnemu synowi też dała na imię Józef. O Józefie Kopiczu, wnuku Józefa Danilewicza, pisałam wielokrotnie. Był wybitnym lekarzem psychiatrą, wicedyrektorem zakładu dla osób umysłowo chorych w Kochborowie i został zamordowany na początku II wojny światowej przez Niemców wraz z pacjentami w Lesie

Szpeęgawskim.

A wracając do braci Józefa i Kazimierza Danilewiczów. Gdy Polska odzyskała niepodległość w 1918 roku, odznaczano byłych powstańców styczniowych i doceniano ich poświęcenie w walce o wolność naszego kraju. W książce Michała Dzimiry p.t. „Lidzbark Welski - dzieje miasta 1920 - 1939” (wyd. Wydział Nauk Historycznych, Instytut Historii i Archiwistyki, Lidzbark, 2014), autor pisze m.in. na temat uroczystości w Lidzbarku Welskim, w 1918 r.:

Podczas wiecu miało miejsce ważne wydarzenie. Mianowicie przed zakończeniem spotkania Władysław Olszewski w imieniu wszystkich uczestników udekorował Kazimierza Danielewicza, weterana powstania styczniowego z 1863 roku, wieńcem z czerwono-białą wstęgą. Dziękowano mu również za poniesione ofiary wobec Ojczyzny. Wiec zakończono w uroczystej i podniosłej atmosferze.

W przypisie autor uzupełnia:

Dalej wzniesiono wiwaty za Polskę, Ojca Świętego, Wilsona, Paderewskiego, za działaczy narodowych i ks. dr Nelkego. Odśpiewano pieśń „Boże coś Polskę”, a ks. dr Nelke

zakończył wiec Pochwaleniem Pana Boga.

W uroczystości wziął udział tylko Kazimierz, bo Józef Danilewicz wówczas już nie żył.



Stefan Klainert na portrecie pędzla Henryka Priebe, obraz olejny w zbiorach rodzinnych

Stefan Klainert z XV Pułku Ułanów Poznańskich

Najstarsza córka prababci Agnieszki, Maria (starsza siostra mojej babci Anny), urodzona w 1899 r. była żoną dwóch oficerów. Pierwszym był Julian Zdanowicz, artylerzysta, urodzony w Mińsku Litewskim w 1891 r. Zaginął podczas wojny w latach 1939-1945. Po wojnie w 1946 r. wyrokiem sądu uznano go za zmarłego.

W 1950 roku ciotka ponownie wyszła za mąż za kawalerzystę Stefana Klainerta, urodzonego w Murowanej Goślinie pod Poznaniem w 1897 r. Wuj Stefana nie pamiętam, ale mój tata opowiadał, że jak odwiedzał ciotkę i jej męża w Poznaniu, zachwycał się jego unikalnymi kolekcjami – starych aparatów fotograficznych i niezwykłą kolekcją numizmatów, z monetami starożytnymi włącznie. Po śmierci męża ciotka przekazała zbiory numizmatów do Muzeum Narodowego w Warszawie. Wuj był w XV Pułku Ułanów Poznańskich, chyba dobrze znał się z generałem Władysławem Andersem, skoro generał przesłał przez łącznika po wojnie swoje zdjęcie z Londynu. Przeprowadzałam kiedyś wywiad z Lesławem Kukawskim z Trzcianki Lubuskiej, ekspertem od polskiej kawalerii. U niego widziałam książkę, wydaną po wojnie w Londynie z fotografią generała Andersa wraz z wujem Stefanem Klainertem. Pewnie zrobiłam wtedy notatki, ale teraz nie potrafię odtworzyć, jaka to była książka.

Po śmierci wuja w 1976 roku, jego mundur, szabla i inne wojskowe pamiątki trafiły do Muzeum Wojska Polskiego w

Poznaniu. Byłam w tym muzeum i widziałam w gablocie czapkę, z napisem „dar Stefana Klainerta”. Poinformowano mnie też, że reszta umundurowania jest w magazynie i wykorzystywana jest przy okazji różnych wystaw. Po wuju, w zbiorach rodzinnych pozostał portret w mundurze, malowany przez poznańskiego malarza Henryka Priebe.

Stefan Klajnert został odznaczony za wojnę polsko-bolszewicką 1918-1921, brał też udział w Powstaniu Wielkopolskim. Był założycielem i pierwszym prezesem Towarzystwa Byłych Żołnierzy 1. Pułku Ułanów Wielkopolskich (15. Pułku Ułanów Poznańskich). Współzałożycielem tego Towarzystwa był też malarz Henryk Priebe (1884-1966), o podobnym życiorysie, co Stefan Klainert. Też był uczestnikiem Powstania Wielkopolskiego i walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Studiował w Krakowie, specjalizował się w malarstwie pejzażowym i portretowym. Po wojnie mieszkał w Obrzycku, gdzie prowadził zakład fotograficzny.

Jeszcze nie doszliśmy z bratem do kogo mogły należeć znalezione przypadkiem - Medal Niepodległości i Złoty Krzyż Zasługi. Ale, znalezisko to zmobilizowało nas do powtórki rodzinnej historii i będziemy szukać dalej.



Joanna Sokołowska-Gwizdka z bratem Andrzejem Sokołowskim w Nadleśnictwie Lidzbark, 2017 r., fot. Jacek Gwizdka
Dziękuję mojemu bratu, Andrzejowi Sokołowskiemu za pomoc w zebraniu materiału historycznego, a bratankowi, Marcinowi Sokołowskiemu, za przygotowanie fotografii.

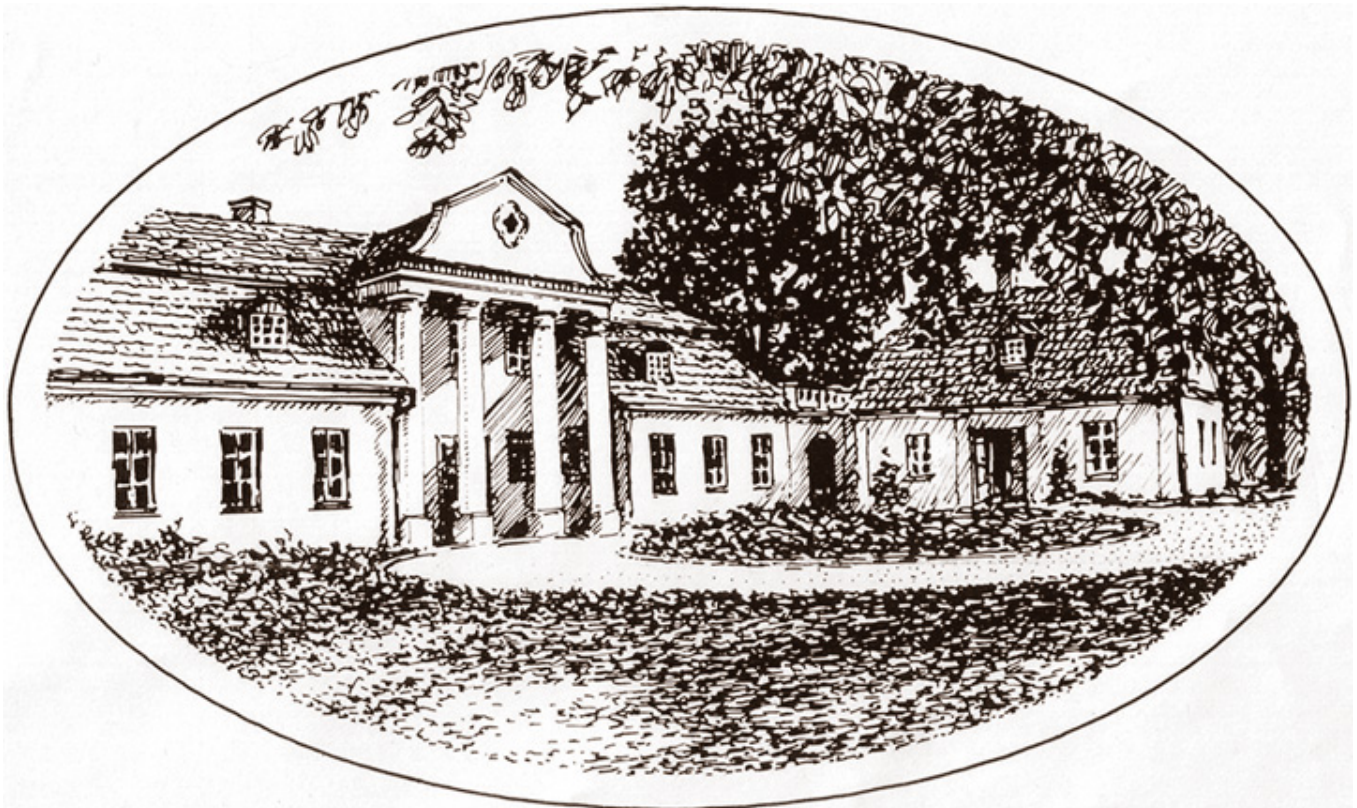
Zobacz też:

Umarli łączą żywych

Oddział Podróży do Nieba

Pamięć i wybaczenie

Z rodzinnego albumu.
Hrubieszów.



Dwór klasycystyczny, 1791, zw. Du-Chateau w Hrubieszowie, obecnie Muzeum, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Kryzys ekonomiczny lat trzydziestych XX w. zmusił mojego ojca do przyjęcia propozycji zorganizowania Banku Spółdzielczego dla rolników i ziemian, w małym miasteczku powiatowym, w Hrubieszowie (ojciec był z zawodu finansistą).

Niestety, wiązało się to z opuszczeniem własnego domu w Zamościu. Widać, jednak była to konieczność, a posada dyrektora banku na tyle intratna, że dawała możliwość utrzymania rodziny na średnim poziomie. Zamieszkaliśmy wtedy w reprezentacyjnym miejscu, najpiękniejszym w mieście domu-dworze państwa Du Chateau, zajmując całą oficynę (wówczas

była tylko jedna po prawej stronie patrząc na front pałacu). Dom był samodzielny, parterowy, czteropokojowy z kuchnią i przedpokojem oraz z gankiem drewnianym od frontu. W mansardzie znajdował się uroczy pokoik z oknem wychodzącym na stronę południową na płaski dach nad dworską kuchnią. Do tego pokoiku wchodziło się po kręconych schodach prosto z jadalni. Schody były podparte drewnianym słupem malowanym olejną farbą, co dawało pewną śliskość. Używaliśmy go do skracania drogi i małych wyczynów. Zawsze bracia byli szybsi ode mnie. Duży pokój - jadalnia posiadał okna na dwie strony zajmując całą szerokość budynku oficyny. Od strony zachodniej dwa okna na zieleń i podwórze i jedno wychodzące na front z klombem i okrągłym podjazdem, jak to zazwyczaj było w dworach polskich.

Dwór - pałacyk datowany w naczółku „1791” był może nawet wcześniejszy i zapewne budowany przez ostatniego starostę Hrubieszowa, miasta królewskiego, Franciszka Salezego Potockiego częściowo na terenie dawnego, drewnianego zamku królewskiego, zniszczonego przez Chmielnickiego w 1648 r. Przed dworem i wzdłuż ogrodzenia od ulicy 3-go Maja (wcześniej zwanej Pańską) rosły duże drzewa - jesiony i było dużo krzewów i zieleni otaczającego dwór spacerowego parku. We dworze mieszkali właściciele i mieściła się apteka z wejściem spod portyku. Po naszej stronie, w symetrycznym układzie dwa okna po bokach ganku. Sypialnia rodziców po prawej stronie od

przedpokoju i na lewo pokój jadalny. Moje ukochane okno na gazon było świetnym miejscem, z którego przyglądałam się życiu. Zasypiałam w małżeńskich łóżach rodziców w obecności ukochanego ojca, który zawsze klęcząc obok odmawiał wieczorny pacierz. Nie pamiętam, by mi kiedykolwiek coś opowiadał, dlatego pewnie tak mało wiem o jego rodzinie.

Pokój moich braci sąsiadował przez ścianę z sypialnią rodziców, stąd świetnie wiedzieli co tam się dzieje. Niejeden raz bijatyki uprawiane nader często przez chłopców zmuszały ojca do interwencji. Słyszeć wtedy było w całym domu klap, klap... w jedną stronę, potem zalegała cisza i znów klap, klap - powrót, bez słów. Siostrę miałam okrutną. Nie pozwalała mi spać w pokoju przeznaczonym dla nas obu, straszyła mnie duchami, a jak beczałam, zawijała w kołdrę i znosiła na dół na kanapę. Wtedy był prawdziwy ryk i ojciec zabierał mnie z powrotem.

W przedziwny sposób z domem tym związało się kilka wątków mojego życia. Ale może po kolei.

Lata przedwojenne były syte i pełne radości, rytmiczne bo odmierzane czasem pracy ojca, na którego czekałam już w przedpokoju, zaraz po 15-tej. Takie było codzienne powitanie: ojciec unosił mnie wysoko, wysoko (miałam wtedy 4-6 lat), a ja pytałam o „losy” i „kaliptusy”, które zawsze dostawałam. Losy to były jakieś niewykorzystane druki reklamowe banku, a

„kaliptusy” – cukierki eukaliptusowe, moje ulubione do dzisiaj. W parę minut po przyjściu ojca zasiadaliśmy sześćoosobową rodziną do stołu, do obiadu. Zwyczaj wspólnych posiłków utrzymał się przez wszystkie wspólne lata. Przy dużym, dębowym stole stanowiącym komplet z innymi meblami rodziców, które ojciec sam projektował i dawał wykonać ze specjalną myślą o domu w Zamościu, każdy miał swoje stałe miejsce i swoją serwetkę obok talerza. Z rozczuleniem, po latach, odnalazłam ten zwyczaj w dalekiej Szwecji, w domu przyjaciół, u baronostwa Hermelinów, do których kilka razy jeździłam w latach 1967-1975.

Przed rozpoczęciem obiadu cała nasza czwórka według starszeństwa, ze mną na końcu, poddawała się torturom picia tranu, którego wprost nie znosiliśmy. Szykowano więc kosteczki chleba, solono czubeczek łyżki, zatykano nos i obiecywano np. pójście na ślizgawkę lub na kajak latem, byleby tran był wypity. Po takiej ceremonii rzucaliśmy się szybko do talerzy z gorącą zupą, by zabić oleistość i ten zapach... Po obiedzie, w zależności od pory roku i pogody wybieraliśmy się do ogrodu, w którym była altana z trejażu (treillage) obrosnięta pnączami i spacerowe alejki. Rosło dużo rzadkich gatunków krzewów, jak magnolie wielkokwiatowe, liany, octowce wówczas rzadkość i srebrne świerki. Ogród był zaplanowany i prowadzony jako spacerowo-dekoracyjny, z wysokimi szpalerami przycinanych grabów, alejami i wystawą kwiatową na południe ku śluzie na Huczwie.

Warzywnik był obok, odgradzony. Właśnie na granicy parku i przy domu schodzącego warzywnika pamiętam tajemnicze wejście do lochów, o których moi bracia opowiadali dreszczem przejmujące historie. Śmiałkowie, którzy usiłowali zgłębić długość korytarza i kierunek, zawsze doznawali przykrych przygód: a to świece im zgasły, a to ktoś ich pobił lub nastraszył. Czy była to zwykła, dawna lodownia dworska, czy pozostałość piwnic starego zamku - trudno dzisiaj powiedzieć. Ślad po tym zaginął.

Stefan Du Château - profesor, konstruktor, architekt z Paryża wspominał podczas spotkania w Hrubieszowie, jesienią 1992 roku o swojej przygodzie, gdy młodzieńcem będąc wszedł w jakiś otwór lochów w rynkowych zakamarkach, a wyszedł gdzieś nad rzeką. Były więc z pewnością lochy pod częścią miasta, o czym wielu wspominało, jak chociażby Golejewski w „Pamiętnikach”. Były, bo być musiały ze względu na konieczność ciągłej obrony przed Tatarami. Napadali i palili miasto 9 razy i dopiero Jan III Sobieski skutecznie położył temu kres w 1672 r.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

Przypominam sobie zdarzenie z pierwszych miesięcy po opuszczeniu miasta przez wojska niemieckie w 1944 r. , rozpowiadane między ludźmi, którzy w środku słonecznego dnia zobaczyli starego człowieka wychodzącego z piwnicy wprost na ulicę. Był pergaminowo blady, przestraszony, słaby i zdeterminowany. Przechowywał się w lochach przez lata pogromu żywiąc się pewnie jabłkami i towarami, które tam magazynowano. Biedak, nawet nie wiedział, że wojna się dla tej

części Polski skończyła.

Te słynne podziemia mogą sięgać jeszcze XVI w. gdy Hrubieszów był warownią ze wspomnianym już zamkiem królewskim, założonym przez Władysława Jagiełłę w 1400 r. W imieniu monarchy rządy tą królewszczyzną, niezbyt cenioną, sprawowali starostowie. Toteż królowie zastawiali ją za grube pieniądze pożyczane od owych możnych starostów. O tym wszystkim dowiedziałam się już teraz, mając propozycję napisania referatu o dziejach Hrubieszowa w XIX w., gdy podlegał administracji carskiej Rosji. Sięgnęłam więc z zainteresowaniem do samych początków i szeroko otwierałam oczy dowiadując się, że był założony na wyspie otoczonej ramionami Huczwy, jej rozlewisk i bagien. Ostatnim prywatnym posiadaczem dominium hrubieszowskiego był sam ksiądz Stanisław Staszic, który właśnie tutaj założył pierwszą w Polsce spółdzielnię „Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie” (1816) uwalniając chłopów od pańszczyzny pół wieku wcześniej niż stało się to pod zaborami. Ziemia przeszła na własność chłopów, ale żeby to prawnie uczynić musiał najpierw nabyć ziemię na własność, a jako syn mieszczanina nie miał do tego tytułu. Starano się więc o to długimi zabiegami prawnymi, za pośrednictwem Ignacego Cetnera oraz jego córki Anny i wreszcie po latach doczekał się realizacji swojej idei. Chyba jednak we dworze nie zamieszkał, co najwyżej, mógł się w nim zatrzymywać lub na plebani, gdzie później urodził się Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Z dzieciństwa ostatnich lat przed II wojną światową pamiętam same dobre i szczęśliwe dni. Nasze spacerunki nad Huczwą, pływanié kajakiem hen daleko aż pod most kolejki wąskotorowej, kąpiel w bagnistej wodzie pełnej szuwarów, strzałki wodnej, nenufarów i innych zielsk, którymi oplatały się wiosła, a podczas kąpieli nogi grzęzły. Było tam malowniczo i jedynie w swoim rodzaju. Huczwa wiła się wśród łąk i pod zwisającymi nad nią starymi drzewami, którymi obsadzano kiedyś obrzeża ogrodów przydomowych na spadającym lekko stoku ulicy początkowo zwanej Młyńską.

Na spacerunki chodziło się po pachnących łąkach tak elastycznych, że odnosiło się wrażenie, że stąpa się po gumie – miękko i przyklepnie. Tylko w okresach długiej suszy ziemia pękała tworząc szczeliny lub siatkę drobnych spękań. Były to wspaniałe torfowiska. Ojciec zabierał nas także na spacerunki do niezbyt odległego lasu, Bohorodycy. Podczas jednego ze spacerów, zauważyłam dziwne podenerwowanie ojca. Pierwszy raz wydał mi się zupełnie inny. Był zdenerwowany, wręcz wzburzony patrząc na rozbieraną w dali drewnianą cerkiewkę. Tumany pyłu co chwilę przysłaniały wyrazistość tego widoku. Słyszeć było trzask łamanego drewna i huk rzuconych belek. Tatusiu, dlaczego burzą kościółek? – zapytałam. Ci, to tylko wykonują polecenie, ale tamci nie mają racji – powiedział jakby do siebie ojciec. Nie rozumiałam wtedy kto są „tamci”. Ale więcej nie pytałam. Dzisiaj wiem, że był to wielki błąd polityczny, który

wkrótce odwrócił się zemstą i nienawiścią Ukraińców do Polaków - codziennie podpalane miasta i palenie okolicznych wsi. W latach okupacji dotkliwie to odczuwaliśmy. Zastrzelono np. doktora Kuczewskiego, który był opiekunem placówki PCK w Hrubieszowie, pomagał ludziom materialnie, leczył i chronił przed wywózką młodzieży do Niemiec na ciężkie roboty.

Z hrubieszowskich, przedwojennych lat pamiętam życie towarzyskie moich rodziców, oczywiście na miarę prowincji, ale bardzo ożywione. Mama należała do Sodalicji Mariańskiej - organizacji katolickiej skupiającej miejscową inteligencję i okoliczne ziemiaństwo. Organizowano tzw. „herbatki” z występami artystycznymi młodzieży, „opłatki” z choinką i śpiewaniem kolęd. Kiedyś i ja wygłosiłam wierszyk, ale z miernym efektem, bo zapomniałam dygnąć. Ile się potem w domu nasłuchiłam od siostry! Kiedy indziej zapomniałam na początku powiedzieć autora czy tytułu - i znów była bura. Strasznie mnie to stresowało, a nikt nie pomyślał, że mam wrodzoną nieśmiałość, która mnie do dzisiaj paraliżuje w bardzo ważnych momentach życia. Pokonywałam samą siebie, ale ile to mnie kosztowało?... Przecież na całej mojej drodze zawodowej musiałam mówić stając przed ludźmi czasem niezwykłymi, słynnymi, już sama świadomość unieruchamiała mózg, a tu trzeba było trzymać się na nogach, nie wymachiwać rękoma, bez żadnego zbędnego gestu, dobierać odpowiednie słowa i przecież nie tylko polskie. Pokonanie tego wszystkiego i uruchomienie

szarych komórek z wiedzą natychmiast potrzebną - zawsze mnie drogo kosztowało i nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Pochwał też nie było, czasem grzecznościowe podziękowania, z których naturalnie cieszyłam się, ale nigdy nie oczekiwałam. Moim spełnieniem się jest praca naukowa w bibliotekach, archiwach, poszukiwanie dokumentów, dochodzenie do prawdy historycznej, odkrywanie faktów dotąd nieznanych, pisanie o tym i opracowywanie w zaciszu domu czy pracowni muzealnej. Z wyborem zawodu trafiłam w dziesiątkę, chociaż nie była to pierwsza dziedzin z ulubionych. Jestem szczęśliwa i uważam, że swój czas wykorzystałam maksymalnie, nie marnując ani jednego dnia. Może to wszystko, co dał mi Hrubieszów ukierunkowało dalszą drogę, którą poszłam i dalej jeszcze idę. Taką prostą i przejrzystą, jak krajobraz znad Huczwy.



Mama (Eleonora Fabijańska) wącha różę

Najbardziej lubiłam okres przed Bożym Narodzeniem. Pierwszy śnieg, rześkie powietrze, wygwieżdżone niebo. Wieczorne zakupy w sklepach Hapońskiego i Baty, powrót do ciepłego domu z mnóstwem pakunczków zawieszonych na ozdobnych sznureczkach, ładnie opakowanych. Jakież Hrubieszów wydawał mi się wielkowiejski ze swoimi dziś nieistniejącymi, prywatnymi sklepami. Był ich cały szereg w zachodnim rogu dawnego rynku bardziej i mniej eleganckich, drewnianych witryn z perfumerią,

sklepem bławatnym i obuwniczym na czele. Cóż to była za radość i duma z posiadania pierwszych w życiu czarnych lakierok, kupionych specjalnie na ślub kuzynki Lili Piątkowskiej.

- O, właśnie widzę sznur sań dworskich, które zajeżdżały przed dwór z gośćmi weselnymi z odległego o 7 km Czumowa. Para Młoda podjechała najmodniejszym wówczas samochodem marki buck, na kołach o drewnianych szprychach, chyba jedynym jaki był w Hrubieszowie. Zdaje się, że właścicielem był pan Juliusz Du Château, gospodarz dworu. Przystanek z przebieraniem był u nas. Obserwowałam kreacje pań, fraki panów i usiłowałam sobie wyobrazić bal, na który mnie nie zabrano. Ale przy ślubie byłam ważna, prawie jak panna młoda. Niosłam długi, długi tren, a Dzidka Brojevska welon. Ach, co to był za ślub...! - Szereg par ustawionych w orszak zaczynał się przy ołtarzu, kończył pod chórem. Tata wbił się we frak, mama miała szytą specjalnie na tę okazję suknię z pięknego aksamitu w kolorze mchu z dodatkami z morelowej tafty. A więc kołnierz á la Maria Stuart, stojący, podbity taftą, dół sukni z trenem, udrapowany pasek zakończony był riuszką z tejże tafty. Te dwa kolory bardzo mi się podobały i stały się ulubionymi na całe życie. Uwielbiam też welury, miękkie aksamity, mięsiste i lejące, otulające sylwetkę.

Mama miała jeszcze drugą suknię, lżejszą, przygotowaną na wesele. Jedwab ciemno-szary w drobniutki biały wzorek. Przód był ułożony w draperię spiętą dużym, sztucznym srebrzystym

kwiatem. Nie pamiętam jej długości, ale chyba zgodnie z modą lat trzydziestych była długa i swobodna. Fryzura w głębokie fale na bok spadające. Włosy naturalnie srebrzące się (mama wcześniej osiwiła) długie, upięte w kok nad karkiem. Była taka ładna, ojciec był bardzo przystojny, postawny. Twarz spokojna, owalna o wysokim czole i niezbyt obfitym owłosieniu, zawsze uśmiechający się. Byli szczęśliwi. Siostra moja, Ela jako pierwsza družka w różowej, dziewczęcej sukience suto marszczonej, podobnej do krynoliny, z dopasowanym gorsecikiem ozdobionym pękiem sztucznych, różowych różyczek i takimże wianuszkiem na czarnych włosach utrefionych przez fryzjera we francuskie loki, ścisłała w dłoni torebeczkę - woreczek z tej samej tafty. Wszystkie te dodatki długo przechowywała w kwadratowym, eleganckim pudełku z ozdobnej złotym wzorkiem tektury, w którym przyjechały z Warszawy. Lili suknia chyba też była kupiona w Warszawie lub szyta. Biały atlas podkreślał jej kobiece już kształty, chociaż miała zaledwie lat osiemnaście. Długi rękaw, bez dekoltu, gładka i dopasowana z trenem. Welon dopasowany do kształtu głowy i delikatny, biały kwiat. Wacek oczywiście w czarnym fraku, wypomadowany i upudrowany. Był pedantem czystości i bardzo dbał o estetykę wyglądu. Był dużo starszy od Lili, miał chyba 30 lat i jako znakomity fachowiec, po rolniczych studiach zarządzał majątkiem ziemskim cioci Niusi, matki Lili. Nie taki mariaż marzył się cioci, a przede wszystkim nie zaraz po maturze. Ale małżeństwo okazało się trwałe. Mieli pięcioro dzieci (trzecie z kolei, maleńka Zosia zmarła w

niemowlęctwie). Czwórka udanych, zdolnych, zaradnych chowała się dobrze, troje jeszcze żyje: Maryla, Andrzej i Jaś. Wacek po ślubie usamodzielniał się, najpierw jako zarządca majątku w Trzeszczanach, a wkrótce jako dziedzic na Wiszniowie.

Wracając do pamiętnego ślubu, jako dziecko przeznaczone do niesienia trenu, ubrana byłam w lekko kremową jedwabną sukienkę z koronkowymi falbankami, wiązaną z tyłu na kokardę. Kokarda w kształcie motyla siedziała także na mojej czarnej łepetynie. Białe pończochy i czarne lakierki dopełniały całości. Dzidka miała błękitną, aksamitną sukienkę z karczkiem i szczypankami, na których przede wszystkim rzucały się w oczy kolorowe, haftowane pajęczki. Takie sukienki ozdobione białym kołnierzykiem bebe ogromnie były modne i kupowało się je gotowe sklepach. Dzidka miała przywiezioną z Warszawy. Podczas ceremonii ślubnej odbywającej się wieczorem 2 lutego 1938 r. kościół św. Mikoła w Hrubieszowie, tonął w światłach i świecach. Wszystko, co było możliwe, jasno się paliło. Wypełnili go licznie zebrani goście weselni i zwykli gapie. Przejęta swą rolą, czułam się jak aktorka, na którą wszyscy patrzą. Starłam się więc nie ruszać, nie rozglądać i być poważną. Ile miałam wtedy lat? – a no pięć i pół. Po uroczystości w kościele weselnicy odjechali do pobliskiego Czumowa na wesele w pałacu. My, dzieci, zostaliśmy w domu. Odczułam z tego powodu wielką niesprawiedliwość, tym bardziej, że Dzidka została zabrana, a przecież obie byłyśmy rówieśniczkami. Takie to były pierwsze,

dziecięce gorycze, których nie zwierzyłam nikomu. Może nie miałam odwagi?

Z czasów przedwojennych pamiętam święta te największe i te państwowe, jak Konstytucji 3-go Maja bardzo uroczyście obchodzone. Również Boże Ciało kiedy to sypałam kwiatki podczas procesji w białej sukience i w wianuszku. Zachowało się amatorskie zdjęcie naszej czwórki siedzącej na stopniach ołtarza, który umieszczono na naszym ganku. Ostatnia Wielkanoc zapisała się w mej pamięci obfitością stołu wielkanocnego, którym było biurko taty stojące między oknami w jadalni. To było prawdziwie dworskie święcone. Na białym obrusie stały baby lukrowane i ozdobione skórką pomarańczową (cykatą), kielbasa biała zwinięta w wianuszek utopiona w smalcu, szynka w całości gotowana, pasztet szpikowany paseczkami słoniny wyglądający jak tort, obok na tacach mnóstwo mazurków, na środku duży biały baranek z chorągiewką czerwoną i złotym krzyżem na niej malowanym i kolorowe jajka - kraszanki. Barwinek z ogrodu, pierwsze, wiosenne kwiaty (Wielkanoc w 1939 r. była 9 kwietnia) uzupełniały tę bardzo smakowitą kompozycję. Poświęcił nam to wszystko ksiądz prałat Melchior Juściński, z którym rodzice przyjaźnili się. Przez długie lata był proboszczem w Hrubieszowie.

Moje lalki też miały święcone: miniaturowe jajeczka, łeb świński, różową szynkę i mazurki - wszystko z marcepanu, przysłane

przez ciocię Milusią, mamy siostrę z Warszawy. W pamięci hrubieszowskich lat dziecięcych zostały także zabawy. Te w ogrodzie z braćmi i te bardziej przeze mnie lubiane z Olesiem Du Château np. w „panią i szofera” na starej platformie do rozwożenia piwa i wód gazowanych, która stała pod wiatą w podwórzu.

Chodziliśmy czasem do apteki i tam ciocia Gienia (ciocia Olesia - farmaceutka) dawała nam sok malinowy do okrągłych białych opłatków, w które apteki sypały zazwyczaj medyczne specyfiki. Nam to bardzo smakowało. Nawiasem mówiąc prywatna apteka rodziny państwa Du Château istniała w Hrubieszowie w tym dworze od 1850 r. od kiedy i dwór zaczął należeć do tej francuskiej rodziny, która wybrała Polskę na drugą swoją ojczyznę. Zajmowała dużą część lewego parteru z wnętrzami przesklepionymi i obszernymi. Rodzice Olesia i maleńkiego wówczas Jasia, państwo Maria z domu Mazaraki i Juliusz Du Château mieszkali do 1939 r. zajmując najpiękniejsze wnętrza od frontu i od ogrodu z wejściem przez taras. Urządzone były z ogromnym smakiem, stylowo i po dworsku z salonem na osi, w którym stał fortepian, z sypialnią po stronie apteki, jadalnią od kuchni w dobudówce o płaskim dachu i z pokojami dzieci od frontu. Przed tarasem rosły piękne magnolie, srebrne świerki i zataczały półkole grabowe szpalery. Góra dworu - piętro, w tych latach nie było zamieszkane.



Rodzina Fabijańskich: mama (Eleonora), Witek (Wiktor), tata (Józef), Julek (mały - Juliusz) i Ela (Elżbieta)

Kiedyś była większa wyprawa w tę część, którą zapamiętałam jako niezwykłą przygodę. Wydawało mi się, że znalazłam się w bajkowym świecie. Do dzisiaj jawi mi się jak sen. Ściany hallu wyłożone zszarzałą, białą lakierowaną boazerią, udawały pewną przytulność wewnątrz. Stąd rozchodziło się mnóstwo pomieszczeń. Czułam specyficzny zapach staroci i rozsychniętego drewna. Przez uchylone drzwi ukazał mi się pokój dziecienny pełen starych, nieużywanych zabawek. Jednak ktoś tam utrzymywał

porządek, sprzątał, odkurzał, bo nie robiło to wrażenia rupieciarni, raczej kultu dla pamiątek po kimś. To był zaczarowany świat, do którego bałam się wejść. Podłoga skrzypiała za każdym stąpieniem. Deski (zapewne kiedyś przykrywał je dywan) też były malowane. Zabawki cudowne, jakich nigdy w życiu nie widziałam, zdradzały zamożność domu i nie przypominały tych ze sklepów. Jak w „Laleczce z saskiej porcelany” czy „Wieszczce lalek”, których wtedy jeszcze nie znałam, jawił mi się ciemnozielony kufer pełen pajacyków, kolombin, arlekinów, lalek w krynolinach i w białych peruczkach. Chciało się pociągnąć za sznurki, by zaczęły tańczyć, ruszać się i śpiewać. Była też mała scena dla kukiełek z jedwabną, rozsuwaną kurtyną. Inne zabawki leżały na półkach: żołnierzyki w strojach z okresu Księstwa Warszawskiego, dobosze, księżę Józef Poniatowski na koniu. Szabelki, konie na biegunach i porcelanowe lalki o słodkich buziach z prawdziwymi włosami, przepięknie ubrane w koronkowe suknie – to było czarujące spotkanie z przeszłością.

Po trzydziestu latach, ten obraz spowodowany jasnym kolorem i zapachem rozsyhających się boazerii, powrócił tak wyraziście w Petit Trianon Marii Antoniny, bardzo wówczas zaniedbanym (1969). Nasunęło mi się skojarzenie, jakiego doznałam w czasie zwiedzania. Oczywiście inny czas, inny poziom artystyczny, ale duch wewnątrz ten sam, duch na wskroś francuski.

Zabawy z braćmi bywały łobuzerskie, szczególnie te w ogrodzie. Huśtanie się na lianach, które łącznie z drzewami tworzyły gąszcz na obrzeżu nad śluzą, wysokim i stromym, powodowały obrażenia, podrapania i sińce, za co obrywaliśmy niezłą burę.

Gorsza w skutkach była jednak wojna na grudy gliny, które najpierw jako amunicję pracowicie zbieraliśmy na stoku. Wysmarowani, zmęczeni wracaliśmy do domu, gdzie o dziwo (!) czekała tylko ogromna blaszana wanna i kąpiel po kolei od najmłodszego do najstarszego. Dzisiaj takie praktyki wydają się być super niehigieniczne. A jednak byliśmy czysti i zdrowi. Kąpiel w wannie nie była taka prosta. Studnia na pompę żeliwną, bardzo ciężko chodzącą, znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Trzeba było wodę nanosić wiadrami, nagrzać w kociołku. Wanna była duża, bez odpływu, dlatego wodę z niej wylewało się czerpakiem do zlewu. Konieczne czynności wykonywała z godnością, dziobata jak durszlak gosposia zwana Aleksandrową. Każdorazowe wyjście na ulicę obligowało ją do zmiany stroju na wyjściowy i poprawienia makijażu, a nakładała grubą warstwę różu, by choć trochę przykryć skutki strasznej choroby zwanej ospą. Zawsze przyglądałam się z niemałym podziwem, jak ona to szybko robiła.

Nasze czteropokojowe mieszkanie z kuchnią, przedpokojem i gankiem było urządzone prosto i skromnie. Dębowe meble z epoki modernizmu, robione na specjalne zamówienie ojca do

zamojskiego domu, bardzo pasowały i do tego również dworku. Zielona otomana z wysokim zapleckiem, pokryta obiciową tkaniną podobną do strzyżonego pluszu, w dotyku szorstkiego, stała na dużym, zielonożółtym dywanie. Obok kąta zajmował komplet salonikowy, skąpo tapicerowany i kryty wełnianym pasiakiem z przewagą zieleni, jakby nawiązującym do łowickich zapasek. Pod oknem frontowym stało mamy biurko z mnóstwem szufladek, a pod nim pokój miały moje lalki i nawet światełko elektryczne zrobił mi Witek z bateryjki od latarki. Na środku stał duży stół, normalnie sześćoosobowy, a w razie potrzeby rozsuwany na dodatkowe 4-6 osób. Między dwoma oknami od ogrodu warzywnego, znajdowało się ogromne biurko taty i w kącie kredens. W oknach wisiały muślinowe, białe firanki, podpięte po bokach. Nasze meble, wszystkie zostały zaprojektowane przez ojca, był utalentowany artystycznie i w młodości próbował i malować i rzeźbić. Wielka szkoda, że nie mógł z powodu I wojny światowej rozwinąć swych zdolności.

Babunia, Władysława z Taczanowskich Fabijańska wcześniej owdowiała, gdy syn miał zaledwie 9 lat, a młodsza córka Janina zaczynała chodzić do szkoły. Stało się to nagle, podczas świąt Bożego Narodzenia w Poturzynie, dokąd pojechali w mroźną i śnieżną porę do rodziny sankami. Dziadek, który siedział obok stangreta i zabawiał go rozmową po tej podróży, zachorował na gardło. Silna gorączka, brak lekarza, może i zlekceważenie czy zbagatelizowanie nagłej choroby spowodowały zgon. Został

pochowany w Oszczowie koło Poturzyna, bo tam była parafia i cmentarz. Próżno po latach na tym wiejskim cmentarzu szukaliśmy grobu dziadka. Nigdy wcześniej nikt mnie tam nie zawiózł.

Wspomnienia ukazują się w trzeci piątek miesiąca.

Poprzednia część wspomnień „Z rodzinnego albumu”:

<https://www.cultureave.com/z-rodzinnego-albumu-zamosc/>

O Czumowie:

<https://www.cultureave.com/polskie-siedziby-rodzinne-czumow/>

Twórcy wizerunku

Polonii

Po całej kuli ziemskiej rozsypali się bracia nasi, Polacy. Spotkać ich można w Moskwie i Berlinie, w Irkucku i Nowym Jorku, nad Renem i Amurem, nie mówiąc o takich okolicach, jak Wołyń, Podole, Ukraina i Litwa. Wszyscy oni tę posiadają wspólność wobec naszego serca i pamięci, że - prawie ich nie znamy, bardzo niewiele o nich wiemy i nader mało interesujemy się nimi.

(Bolesław Prus, cyt. umieszczony na okładce albumu „Twórcy wizerunku Polonii)



Joanna Sokółowska-Gwizdka, red. naczelna magazynu „Culture Avenue”, znalazła się w II tomie albumu „Twórcy wizerunku Polonii”. Z lewej: nad Travis Lake w Austin, Teksas, fot. Jacek Gwizdka, z prawej, z mężem Jackiem Gwizdka, profesorem University of Texas at Austin, na kulturowej ulicy 6th Street w Austin

W 2018 roku ukazał się I tom albumu "Twórcy wizerunku Polonii" będący realizacją specjalnego projektu w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości.

Wśród 100 postaci, obok tak znanych nazwisk jak m.in. **Jerzy Giedroyc**, prezydent **Ryszard Kaczorowski**, piosenkarka **Karin Stanek** czy światowej sławy artysta malarz, grafik i twórca plakatów **Rafał Olbiński**, znalazły się noty wielu polskich naukowców, artystów, działaczy społecznych, którzy żyją i pracują poza granicami kraju.

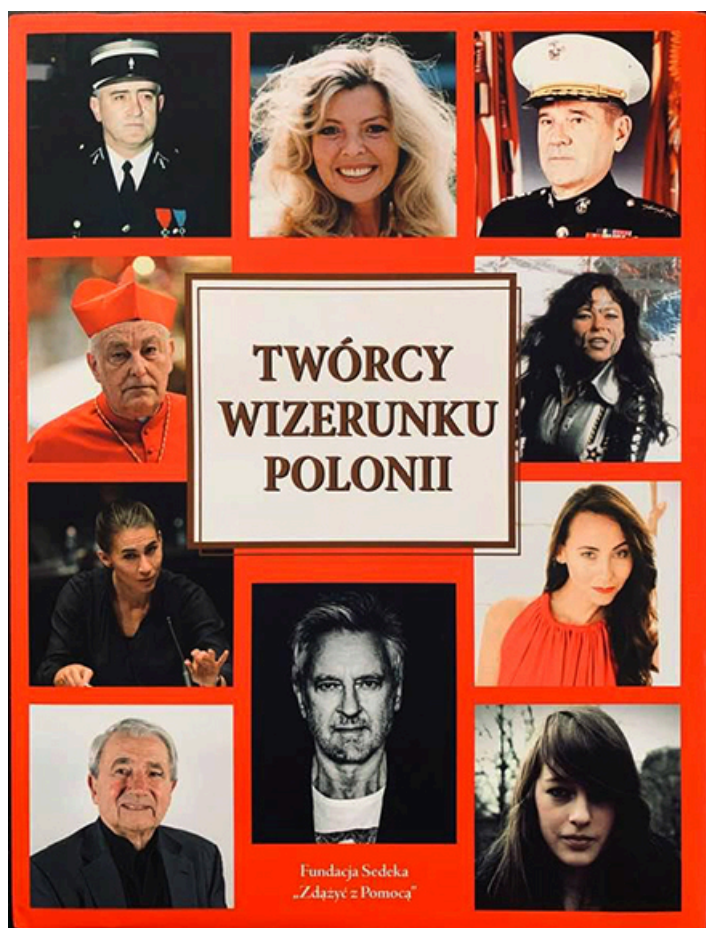
Wydawcą albumu jest Fundacja Sedeka wraz z Fundacją Dzieciom „Zdażyć z Pomocą”. Tworzą one Wspólnotę „Zdażyć z Pomocą”, której prezydentem jest aktorka **Beata Tyszkiewicz**. Pomysłodawcą i założycielem Fundacji jest polski inżynier i działacz społeczny, **Stanisław Kowalski**, obecnie prezes zarządu. Był on również wydawcą siedmiotomowej edycji „Twórców wizerunku Polski”, stąd naturalną kontynuacją tamtej serii jest album „Twórcy wizerunku Polonii”.

We wstępie do pierwszego tomu pisze:

Przez długie lata Polacy byli skazani na emigrację. Gdziekolwiek żyli, nigdy nie zapominali o kraju swojego pochodzenia. Walczyli o niepodległość nie tylko szablą, ale także piórem czy pędzlem – sławiąc Ojczyznę, która zniknęła na pewien czas z mapy Europy. Miałem szczęście urodzić się w Polsce niepodległej, lecz niestety, jako sześciolatek doświadczyłem horroru wojny. Nasz kraj został ponownie zniewolony, a strumień emigracji targanej koszmarnym wiatrem historii nie zmniejszył się, a wręcz nasilił. Na przestrzeni wieków los często zmuszał Polaków do życia poza Ojczyzną, ale nigdy nie zapominali o kraju swojego pochodzenia. Naukowcy, artyści, przedsiębiorcy, politycy, nie mogąc służyć ojczyźnie na miejscu, pracowali dla niej poza granicami. (...) Warto przyjrzeć się

współczesnym sylwetkom twórców wizerunku Polonii, ich pracy i twórczym dokonaniom. Są oni najlepszymi ambasadorami naszego kraju, sprawiają, że słowo Polak brzmi dumnie.

(Stanisław Kowalski)



Tom I



Tom II

Pomysłodawca serii poświęconej Polakom za granicą i redaktorem albumu jest **profesor Zbigniew Andrzej Judycki**, wiele lat mieszkający we Francji, dziennikarz, biograf i promotor Polonii. Jest on autorem i współautorem, wydawcą i współwydawcą kilkudziesięciu publikacji książkowych o tematyce polonijnej, ze szczególnym uwzględnieniem wydawnictw słownikowych; pomysłodawca i organizator dziesięciu międzynarodowych sympozjów poświęconych udziałowi Polaków i osób polskiego pochodzenia, żyjących na obczyźnie w rozwoju cywilizacyjnym świata. Pomysłodawcą wyróżnień za zasługi dla promocji dokonań Polaków w świecie – medalu honorowego „Polonia Semper Fidelis”, ustanowionego

przez Senat RP (1996). Jest także inicjatorem i współzałożycielem Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie (z siedzibą w Paryżu). Członek stowarzyszeń, komitetów i rad zajmujących się problematyką polonijną. Laureat nagród i wyróżnień (m.in. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, francuskich historyków Piarron de Chamousset i „Fidelis Poloniae”). Honorowy profesor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Autor, twórca pomysłu i wstępnych projektów wystawy Polacy w Europie.



W 2019 roku ukazał się II tom „Twórców wizerunku Polonii”. Jest to to kolejny zbiór biografii wybitnych Polaków na emigracji.

Wśród znanych postaci znajdują się m.in.: **Matylda królowa Belgów, Czesław Miłosz, Jan Karski, generał Stanisław Maczek** czy też twórca zegarków szwajcarskich **Antoni Patek**. Znalazło się tu też wiele osób z Kanady jak np. dyrygent Andrzej Rozbicki z Toronto, czy podróżnik, który dwukrotnie dostał się do Księgi Rekordów Guinnessa, Jerzy Adamuszek.

W II tomie albumu „Twórcy wizerunku Polonii” znalazła się też pisarka, dziennikarka, członek Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, twórczyni i redaktor naczelna magazynu poświęconego polskiej kulturze poza krajem „Culture Avenue” - **Joanna Sokołowska-Gwizdka**.

Poza Polską jest od 2001 roku, najpierw mieszkała w Toronto w Kanadzie, od 2005 r. w USA (New Jersey), a od 2013 r. mieszka w Austin w Teksasie.

Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Łódzkim. Po ukończeniu studiów przez kilka lat pracowała w Katedrze Literatury Staropolskiej UŁ. Równolegle współpracowała z tygodnikiem społeczno-kulturalnym „Odgłosy”, Telewizją Polską Łódź oraz z „Głosem Polonii” - polskim radiem w Perth w Zachodniej Australii. Była także przedstawicielem medialnym oraz organizatorem promocji w Polsce Międzynarodowego Festiwalu Chopinowskiego odbywającego się w La Châtre-Nohant we Francji.

Po wyjeździe do Toronto związała się z „Gazetą” - największym dziennikiem Polonii w Kanadzie. Przez 6 lat redagowała „List Oceaniczny” - dodatek kulturalny „Gazety”. Przeprowadzała też wywiady z przedstawicielami świata kultury na antenie stacji telewizyjnej w Toronto „Polish Studio”. Po przeprowadzce do USA współpracowała z „Przeglądem Polskim” - dodatkiem społeczno-kulturalnym nowojorskiego „Nowego Dziennika”. Jej artykuły, recenzje i wywiady publikowane były też w różnych pismach w Polsce: m.in. „Rzeczpospolita”, „Jazz Forum” i na świecie: „Polonia Kalifornijska” (San Diego, Kalifornia), „Teraz” (Filadelfia, Pensylwania), „Polonez” (Kair, Egipt), „Kurier Zachodni” (Perth, Zachodnia Australia), „Tygodnik Polski” (Sydney, Australia), „Pro Polonicum” (Fryburg, Szwajcaria), „Pamiętnik Literacki” (Londyn, Wielka Brytania).



Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, maj 2019 r., stoisko A.P.A.J.T.E. (Polskie Stowarzyszenie Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie), z siedzibą w Paryżu. W środku Magdalena Bykowska - prezes Stowarzyszenia i Joanna Sokołowska-Gwizdka, wystawiająca swoje książki.

Jest autorką polsko-angielskiej książki „**Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej**” (Borey Publishing, 2009), współautorka sztuki teatralnej o Fryderyku Chopinie „**Dobry wieczór Monsieur Chopin**” (2010), wystawionej przez Salon Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto, przetłumaczonej na trzy języki (angielski, francuski, portugalski), granej w Kanadzie, USA, Brazylii i Europie oraz autorką monografii polskiego teatru w Toronto „**Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny**” (Novae Res, 2016). Książka ta nie tylko obejmuje 22 lata działalności teatralnej i dokumentuje kilkadziesiąt premier, ale przede wszystkim opowiada losy Polaków z różnych pokoleń emigracji, którzy związani byli z tym teatrem.

Jest także wiceprezydentem Austin Polish Society, przewodniczącą Klubu Historyka w Austin i współorganizatorem Festiwalu Polskich Filmów w Austin.

Laureatka statuetki **Złota Sowa w kategorii literatura**, przyznanej przez Klub Inteligencji Polskiej w Wiedniu (2018). Została także wyróżniona przez Press Club Polska **Nagrodą im. Macieja Płazyńskiego**, za redakcję magazynu „Culture Avenue” (2018).

*Twórcy wizerunku Polonii, red. prof. Zbigniew Judycki,
wyd. Fundacja Sedeka, Tom I i II, Warszawa 2018 i 2019.*

Dom na wzgórzu



Kira Banasińska, ok. 1930 r., fot. (w:) Małgorzata Reinhard-Chlanda, Kira Banasińska - Seventy Years in India. From Diplomacy to Kaybee, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie i Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata w Warszawie

Ryszard Sawicki (*Namysłów*)

Wzgórze nad pałacem gubernatora nie było wysokie, lecz rozciągał się stamtąd rozległy widok Hydarabadu. Widać też było całe jezioro leżące tuż za miastem. Kiedy ściany niskich domostw w ubogich przedmieściach sąsiadujących z jeziorem oświetlało jaskrawe indyjskie słońce, tafla jeziora ciemniała jak głębokie zwierciadło, w którym odbijały się chmury, lub jaśniała, zależnie od tego skąd padały promienie słońca. Lśniąca powierzchnia wody kontrastowała z matowymi ścianami zabudowań. Także i korony drzew, rosnących przy niektórych ulicach, w ogrodach i na skwerach, były matowe, bo przed nadejściem monsunu pokrywał je szaro-brunatny pył. W okresie, gdy przychodziła pora rozrostu wodnych lilii, jezioro znikало niemal zupełnie pod liśćmi. Jednego dnia zauważyć można było tworzące się na powierzchni wyspy, na drugi dzień jeziora już nie było widać, przyrost roślin był błyskawiczny.

Widok Hydarabadu ze wzgórza nad miastem zapamiętałem wyraźnie, chociaż nie rozpoznałbym żadnych ulic ani placów. Pamiętam też dom na szczycie wzgórza, w którym byłem gościem. Mieszkały w nim dwie stare kobiety, jedna z córek byłego nizama Hydarabadu i jej przyjaciółka, **Kira Ćwirko-Godycka**, po mężu **Banasińska**, ciotka mojej znajomej **Aleksandry Dolly Korewy**. Dolly przyjechała do Indii wcześniej niż ja, spotkaliśmy się na wiosnę 1977 roku u znajomych mego

stryja, państwa Dowgiałłów, którzy mieszkali wtedy w New Delhi. Mieszkając dość długo u swej ciotki, Dolly przeglądała stare archiwum z okresu drugiej wojny, robiła notatki by potem, po powrocie do Europy napisać artykuł. W drodze powrotnej do Warszawy została jednak okradzona jeszcze w Pakistanie, podczas zamieszek jakie wybuchły po śmierci Ali Bhutto. Razem z bagażem i wszystkimi rzeczami osobistymi, przepadły jej notatki i moje filmy ze zdjęciami ze Wschodniej Turcji, Iranu, Afganistanu, Indii i Pakistanu, które dałem Dolly z prośbą o wywołanie w Europie (ja nie zamierzałem wracać do Polski, chciałem zostać dłużej w Azji, potem wybierałem się do Australii). Artykuł nie został nigdy napisany.

Od mojego pobytu w willi nad pałacem gubernatora upłynęło ponad dwadzieścia lat. Niedawno we Wrocławiu oglądałem u Julity Korewy zdjęcia Pani Kiry zarówno z okresu indyjskiego jak i wcześniejszych lat spędzonych przez nią i jej męża w Japonii. Czytałem też kilka listów, które napisała do rodziny. Zobaczyłem jeszcze raz, wywołaną z pamięci, postać starszej pani jak machała na pożegnanie ręką z podjazdu przed domem, kiedy w drodze na stację kolejową zjeżdżałem starym samochodem prowadzonym przez jej kierowcę po nieco wyboistej, nie wybrukowanej, ani nie pokrytej asfaltem ulicy, prowadzącej w dół do miasta.

Na zdjęciach, które Julita wydobyła z pudełka w swoim

wrocławskim mieszkaniu, pani Kira wygląda inaczej niż ją zapamiętałem. Jest młodą, piękną kobietą cieszącą się pełnią życia. Pojawia się przy chińskiej bramie słońca, siedzi w wygodnym płóciennym fotelu ustawionym na pokładzie jachtu płynącego po azjatyckiej zatoce. Z mężem-dyplomata siedzą obydwoje w japońskim ogrodzie. Zdjęcia nie są opisane dokładnie, nie wiadomo więc w jakim parku ani na jakim jachcie zostały zrobione. Z listów do rodziny nie można wyłowić ani dat, ani nazw. Przeglądając wspomnienia przyjaciela rodziny Banasińskich, **Wacława Jędrzejewicza**, nestora polskiej irredenty, dyplomaty i badacza najnowszej historii Polski, też nie zdołałem znaleźć dokładniejszych danych. Za to znalazłem na kartach jego wspomnień wiele ciepłych słów o pani Kirze, które opisują ją taką jaka była w czasie pobytu w Japonii.

W rozdziale zatytułowanym „Pierwsze miesiące” (chodzi o początki pracy w polskim poselstwie w Tokyo), Jędrzejewicz wymienia pracowników poselstwa, także doktora Eugeniusza Banasińskiego, który „prowadził sprawy finansowe i konsularne poselstwa oraz opracowywał zagadnienia ekonomiczne”. Mówi, że doktor Banasiński „był żonaty z Kirą Ćwirko-Godycką, którą poznał w Harbinie, gdzie zamieszkiwała jej matka”, i że „mieli córkę Lilkę”. O samym Eugeniuszu wspomina iż „był to człowiek bardzo inteligentny, miły i łatwy w obejściu, dobrze znający teren”. Jędrzejewicz ułatwił Banasińskiemu wejście do regularnej służby zagranicznej.

W rozdziale zatytułowanym „Mandżuria”, Jędrzejewicz napisał, że Kirę Banasińską poznał jeszcze w Harbinie, gdzie

obie z matką zorganizowały bardzo piękne przyjęcie” dla niego, jako podróżującego polskiego dyplomaty. Rozdział pod tytułem „Jesień - zima 1925 - 1926” zaczyna się od zdania: „po parotygodniowym pobycie w Harbinie wyjechaliśmy z panią Banasińską i Lilką kolejką do Dairenu, po czym statkiem do Kobe i znowu koleją do Tokyo, gdzie oczekiwało mnie wiele pracy przy zorganizowaniu biura attaszatu.

Rozdział zatytułowany „Kierownictwo poselstwa w Tokyo” zawiera znów kilka zdań o pani Kirze w związku z napadem na biuro attache wojskowego Sowietów w Pekinie, które przeprowadził marszałek Czang-tso-lin. Zabrano tam stopy rosyjskich dokumentów, a Jędrzejewicz był jedynym cudzoziemcem, którego rząd japoński powiadomił o tym i w wielkiej tajemnicy wręczył fotokopie paruset z nich celem ich przeffotografowania dla użytku polskiego sztabu generalnego. Pomagała mu w fotografowaniu dokumentów pani Kira.

Miałem bardzo dobry aparat fotograficzny - pisze Jędrzejewicz - toteż przy pomocy Kiry Banasińskiej przez wiele nocy fotografowaliśmy dokumenty w poselstwie i

niezwłocznie wywoływalismy klisze w prowizorycznej ciemni. Bylo to w lecie, w upalne noce. Bardzo męczyliśmy się nad tą pracą – dodaje Jędrzejewicz.

W rozdziale o trzęsieniach ziemi, Jędrzejewicz też wspomina Kirę. Któregoś dnia, gdy mieszkał razem z Banasińskimi w Hajama, nad morzem, ich japoński domek zatrzęsł się tak,

że w jednej chwili znaleźliśmy się na zewnątrz, każdy jak stał, a Kira Banasińska, która właśnie brała kąpiel, wyskoczyła z wanny jak ją Bóg stworzył.

Ostatni raz pojawia się pani Kira we wspomnieniach Jędrzejewicza z roku 1928. W związku z odwołaniem Jędrzewicza do Warszawy, jego następcą, major dyplomowany Henryk Floryan-Rajchman zegnał go na dworcu w Tokyo. „Rajchman i Kira Banasińska odprowadzili mnie do następnej większej stacji”. Nie wiem, czy Jędrzejewicz bywał w czasie wojny i po jej zakończeniu u państwa Banasińskich w Bombaju. Wiem tylko od niego, że pisywali do siebie listy. Odnaleźć je było by dziś trudno. Dlatego listy do rodziny są jednymi z nielicznych dowodów ich barwnego życia. Szkoda, że przez wiele lat pani Kira nie mogła kontaktować się z rodziną w Polsce, może byłoby dziś więcej takich listów jak ten, adresowany do Onufrego Korewy, z datą 20

stycznia 1965 roku.

Kochany Onusiu! Nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo ucieszył mnie Twój list. Znalazłam go na podłodze w biurze, gdyż był podsunięty pod drzwi przez listonosza po godzinach pracy i wprost nie mogłam sobie uprzytomnić, że to istotnie list od Ciebie. Tyle lat upłynęło od czasu gdyśmy się widzieli po raz ostatni, tyle zmian i w Waszym życiu i moim. Ciekawa jestem jakimi drogami natrafiliście na mnie - przypuszczać tylko mogę, że przez „Cyriakę”, gdyż żadnej innej prócz mnie dotychczas nie spotkałam. Musimy się znowu zapoznać i przerzucić most przez tę olbrzymią przepaść lat. O ile sobie przypominam, od pewnego czasu Ojciec był z Wami w kontakcie, więc chyba pewne szczegóły z mego życia były dla Was znane - jednakże zacznę od Harbina bo to było bezpośrednio po wyjeździe od Was. W Harbinie wyszłam za mąż, tam urodziła się nasza córka, Lygia Janina. Od dwudziestego szóstego do trzydziestego pierwszego roku byliśmy w Japonii, gdzie mąż mój był kierownikiem Wydziału Konsularnego przy Poselstwie w Tokio. Stamtąd wróciliśmy do Warszawy i w trzydziestym trzecim roku mąż był mianowany konsulem, później konsulem generalnym na Indie. Lygia skończyła szkołę w Bombaju i mając siedemnaście lat wyszła za mąż za Anglika. Ich często przerzucają z miejsca na miejsce, lecz obecnie są w

Londynie. Syn ich, Jocelyn Seweryn wkrótce kończy Cambridge. Jest bardzo przystojny, inteligentny, wesoły i miły. Po polsku nie mówi. W trzydziestym ósmym byłam w Kraju, widziałam wtedy Ojca po raz ostatni. Wiecie zapewne, że umarł w grudniu czterdziestego roku. Dowiedziałam się o tem dopiero po powrocie do Indii po zakończeniu wojny z listu p. Juszkiewiczowej, który dotarł do mnie z kilkuletnim opóźnieniem. Podczas wojny starałam się go odszukać, pisałam przez Szwajcarski Czerwony Krzyż i inne organizacje, lecz wszystko było bezskuteczne. Byliśmy w Indiach do końca czterdziestego czwartego roku. W okresie wojny, jako delegat Polskiego Czerwonego Krzyża na Indie oraz delegat Polskiego Ministerstwa Opieki Społecznej, prowadziłam wszystkie sprawy azylu i osiedli naszych uchodźców w Indiach oraz obozów przejściowych w Karachi, jak również sprawy zaopatrzenia transportów do Afryki i innych krajów, gdzie ich przierzucano. Pod koniec czterdziestego czwartego roku wyjechaliśmy do Londynu gdzie mąż dostał przydział do MSZ, ale już się wszystko kończyło. Dlatego wróciliśmy po roku do Indii, gdzie mieliśmy wielu przyjaciół. Po kilku latach, nie wiem w jaki sposób, wpadłam na pomysł zapoczątkowania warsztatu wyrobów z drzewa dla szkół. Z biegiem lat zaczął się mój warsztat rozwijać, tak, że obecnie mam kompletnie zmechanizowaną fabrykę pomocy szkolnych dla dzieci od dwóch do sześciu lat. Mam przeszło siedemdziesięciu

robotników. Fabryka idzie nieźle ze względu na olbrzymi rozwój szkolnictwa w Indiach. Ostatnio moje wyroby znalazły zbyt też w Ameryce. Jednakże prowadzenie tego wszystkiego nie jest rzeczą łatwą odkąd jestem zupełnie sama. Za życia męża, on prowadził biuro, ja fabrykę, lecz po jego śmierci wszystko spadło na mnie. Ani Lygia ani jej mąż ani nawet ich syn nie mają zamiaru tutaj się instalować. Mąż Lygii jest w wojsku i jak na swój wiek w dość wysokiej randze. Ma przed sobą jeszcze dobrych parę lat czynnej służby. Jeśli miałabym określić jednym zdaniem jak żyję, to powiedziałabym, że żyję jak robot. Jestem w pracy od siódmej rano do późnej nocy. Wstaję o szóstej, a wracam do domu dopiero około dziesiątej, szalenie zmęczona. Najczęściej zasypiam w fotelu i dopiero służący budzi mnie do obiadu. Po obiedzie znów coś załatwiam. W ogóle nie rozstaję się z teczką. Różne akta i papierki jeżdżą ze mną stale tam i z powrotem, aż znajdę dość czasu i sił aby je pozałatwiać. Jestem tak uwięziona sprawami fabryki, że chyba nigdy nie będę mogła wydostać się z Indii. Ponieważ jednak praca ta, a szczególnie jej wyniki dają mi wielką satysfakcję, nie tyle finansową co moralną, dzieci radzą mi abym tu pozostała tak długo aż mi się to wszystko znudzi i wtedy dopiero przerzucić się do Anglii aby na stare lata być gdzieś niedaleko od nich.

Mam tutaj niewielkie mieszkanie w mieście, które odziedziczyłam po matce. Zmarła ona w Bombaju w

sześćdziesiątym pierwszym roku. Poza tym mam bardzo przyjemny domek z liści palmowych nad morzem w Juhu. Jadę tam zazwyczaj w sobotę wieczorem i w poniedziałek rano wracam wprost do fabryki. W Juhu niby odpoczywam, lecz to raczej teoretycznie. W praktyce wygląda to całkiem inaczej, gdyż właśnie w niedzielę odwiedzają mnie moi przyjaciele, którzy przyjeżdżają tam aby się wykąpać w morzu i pooddychać świeżym powietrzem. Gospodarstwo w tych moich dwu pied-a terre'ach idzie jakoś samo, bez większego zachodu z mojej strony, gdyż i w Bombaju i w Juhu od wielu lat mam tę samą służbę.

Wszyscy, zarówno wy jak i ja, jesteśmy mniej więcej w jednym wieku, przypuszczam więc, że mamy te same dolegliwości. Jeśli chodzi o mnie, na ogół czuję się jednak nieźle, ale czasem coś tam zaczyna dolegać. Naturalnie, że z sercem wszystko nie jest w porządku, ale jakoś się trzymam, daję sobie radę ze wszystkim i pracuję za trzech.

Chciałabym bardzo wiedzieć jakie były koleje losów Waszej Rodziny. Wspominasz w liście Tadziów, Kletów, Jadzię... Czy ktokolwiek z nich ma dzieci, wnuków? Napisz koniecznie, czy Ty również masz żonę, dzieci. Proszę wszystkich ode mnie uściskać.

Ściskam Ciebie i całuję serdecznie, Kira.

Ślę też wiele dobrych życzeń na sześćdziesiąty piąty rok dla całej Waszej Rodziny.

List był opatrzony adresem zwrotnym: 12 Gunbow Street, Fort, Bombay 1. Ani zdjęcia domu w forcie ani z Juhu Beach nie dotarły do Julity Korewy do Wrocławia. „Cyriaka” to oficjalne, pełne imię pani Kiry. Zwrot „bezpośrednio po wyjeździe od Was” dotyczy pobytu pani Kiry w domu dziadka Julity Korewy, Ignacego, który był zarządcą kopalni azbestu i szmaragdów na Uralu albo w domu brata Ignacego w Irkucku, który był inżynierem kolejowym zatrudnianym przy budowie kolei koło Bajkału i kolei transsyberyjskiej. To „ostatnie spotkanie” miało miejsce w 1916 roku.

Na zdjęciu z wnętrza magazynu fabrycznego pani Kira stoi przy półkach wypełnionych drewnianymi klocekami, zwierzętami i obrazkami. Rozmawia z jednym ze swych pracowników. Może był to kierownik magazynu, a może dyrektor fabryki, którego pani Kira zatrudniła po usilnych namowach przyjaciela rodziny, przemysłowca i filantropa pochodzenia perskiego o nazwisku Tata (samochody ciężarowe z jego nazwiskiem można i dziś zobaczyć na wszystkich drogach Indii). Była to dla niej trudna decyzja, bo choć nawał pracy męczył, to jednak „dawał satysfakcję moralną”.

Pani Kira skarży się na problemy z fabryką także w liście z 19 grudnia 1974 roku (list był wysłany z Hyderabadu, gdzie zamieszkała po opuszczeniu Bombaju).

Kochany Onusiu!

Parę dni temu dostałam list od Dolly, cóż to za miła niespodzianka. Jak tylko znajdę wolną chwilę - odpiszę. Na razie proszę ją serdecznie uściskać i przekazać jej moje najlepsze życzenia świąteczne. Jestem tak niesamowicie zajęta, że po powrocie do domu nawet do córki nie mam sił napisać. Pięć miesięcy temu zostałam prababką. Mój wnuk Jocelyn był przez pięć lat w Bangkoku i tam się ożenił z Thajką. Właśnie urodził się im syn, któremu dali na imię Thomas. Są teraz w Londynie, a ja już teraz zostałam całkiem sama w Indiach. Żebyś wiedział jakie niesamowite kłopoty mam z fabryką i jak trudno jest pracować w przemyśle wybaczyłbyś mi tak długie milczenie. Ślę moc najserdeczniejszych życzeń noworocznych dla Ciebie, Julity i Twoich najbliższych.

P.S. Przypomniałam sobie, że był tu rok temu profesor Urbański. Czy to jest jakiś krewny Dolly? Jest teraz w Polsce. Gdybyś go spotkał to mógłby opowiedzieć o mnie gdyż był u mnie parę razy na obiedzie. Wrócił również do Warszawy po

pięciu latach spędzonych w Hyderabadzie doktor Z. Zieliński. Był tu szefem misji International Labour Organisation. Zgubiłam jego adres lecz mógłbyś go odnaleźć przez biuro adresowe. On i jego żona Janka często bywali u mnie w fabryce. Ściskam, Kira.

Do natłoku problemów, które wymagały natychmiastowego rozwiązania pani Kira przyzwyczała się w okresie wojennym. Organizacja i prowadzenie obozów dla uchodźców były zadaniami trudniejszymi niż prowadzenie fabryki. Osiedla i obozy, które powstały w Karachi, a potem w innych miejscowościach przyjęły wielu uchodźców z Sowieckich łagrów, między innymi czwórkę moich kuzynów. Kobiety i dzieci, które wydostały się z „niehumanitarnej ziemi” z wojskiem generała Andersa nie mogły podążać do Europy wojennym szlakiem armii. Nim zagłodzone i schorowane zdolne byłyby przetrwać dalszą podróż, musiały nabrać sił jeszcze w Azji. Pani Kira i jej hinduscy oraz brytyjscy przyjaciele zapewnili im godziwe warunki bytu. O jednym z takich osiedli pisał Stanisław Wujastyk w *Sunday Standard* wydawanym w Bombaju (numer z jedenastego listopada 1979 roku). Artykuł był też opublikowany w języku polskim w 1778 numerze londyńskich „Wiadomości” (27 kwietnia 1980).

Dadu Lokhande, Maruti Bhosle i Sadku Gavalt są prostymi

ludźmi z przydrożnej wioski Gandhinagar, leżącej pięć kilometrów od Kolhapur. Nic ich nie wyróżnia od reszty zwyczajnych ludzi z tych stron - pisał Wujastyk. Gdyby jednak zawitał do tej wioski przybysz z Polski, mógłby się porozumieć z tymi ludźmi w swoim ojczystym języku. Rozmawiali oni czasem w języku tego odległego kraju, a nie znali nawet angielskiego, który w Indiach jest dość powszechnie używanym, zwłaszcza w miastach, „drugim językiem”.

Nauczyli się polskiego w okresie drugiej wojny światowej, „gdy Brytyjczycy utworzyli w 1943 roku jedno z polskich osiedli”, wyjaśnił Wujastyk.

Maharadża Chhatrapati Shahdži i maharani Toprani, władcy niezależnego wówczas księstwa Kolhapur, pomogli wybudować obóz w Valivade i nazwę miejscowości przemieniono wtedy na Gandhinagar. Obóz, który znajdował się pod administracją brytyjską, liczył pięć tysięcy osób. Polacy sami jednak zarządzali swoimi sprawami pod kierownictwem niejakiego kapitana Grebenka (?). Tworzyli własną samopomoc, sklepy, restauracje, szkoły i boiska sportowe. Obóz dawał też zatrudnienie miejscowej ludności. Był wzorem czystości i dobrej organizacji. Valivade zyskało na znaczeniu do tego stopnia, że otwarto tam stację kolejową Polish Colony Station. Osiedle zostało zamknięte

dopiero w 1948 roku. Polacy rozjechali się do różnych krajów Europy (moi kuzyni osiedlili się w Anglii), Ameryki, Afryki i Australii. W 1975 roku na pobliskich terenach gimnazjum Św. Ksawerego umieszczono tablicę pamiątkową z napisem w języku marathi, angielskim i polskim:

Pamięci siedemdziesięciu Polaków, którzy w drodze powrotnej do swych domów w Ojczyźnie zmarli na ziemi Indii w latach 1943-1948, Valivade, Kolhapur.

Polacy zostali pochowani na lokalnym cmentarzu, który jest pod opieką rzymsko-katolickiego i anglikańskiego kościoła. Tę informację znalazłem we własnym archiwum.

W rodzinnym archiwum Julity Korewy nie ma zdjęcia domu pani Kiry w Hyderabadzie. Moje filmy z Azji zostały ukradzione jeszcze przed wywołaniem, jak wspominałem, w czasie podróży Dolly przez Pakistan. Brakuje też zdjęcia z Juhu Beach. Nie widziałem wprawdzie tego domu „krytego liśćmi palmowymi”, ale wyobrażam sobie, że nie mogła to być jedynie skromna chata podobna do tych „krytych strzechą”, budowanych w Środkowej Europie. Bywałem w Juhu Beach u znajomych. Pamiętam tę plażę i przyległe rejony położone na północ od Mahim Bay jako ekskluzywne dzielnice. Był tam elitarny klub podobny do żeglarskich klubów opisywanych przez Józefa Konrada

Korzeniowskiego.

Zapewne w pamiętniku Pani Kiry, którego fragmenty cytowane były na łamach „Rzeczypospolitej” (29. 07. 00, nr 176) znaleźć by można dokładniejszy opis każdego z domów państwa Banasińskich. Podczas moich rozmów z panią Kirą, twierdziła, że napisze pamiętnik „kiedy się postarzeje”. Wydawało mi się wówczas, że nie nastąpi to nigdy. Na zdjęciu zamieszczonym przez „Rzeczpospolitą” pani Kira wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciach z archiwum Julity Korewy. Najbardziej podoba mi się zdjęcie z pokładu jachtu sunącego po łagodnych falach jakiejś zatoki. Pani Kira uśmiecha się młodzieńczym uśmiechem. Ma ręce założone pod głowę. Ubrana jest w białą sukienkę z krótkimi rękawami. Na nogach ma sandały z grubą plecioną podeszwą, takie jakie widuje się i dziś w sklepach japońskich. Wygląda tak, jak wyobrażam sobie bohaterki powieści Conrada.

Kira Banasińska z domu Ćwirko-Godycka, ur. 1899 na Syberii, zm. 25 maja 2002 w Hajdarabadzie. W 2018 r. wyszła jej autobiografia, wydana przez Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata.



Kira Banasińska

AUTOBIOGRAFIA

POLSKIE LOSY
NA KRAŃCACH ŚWIATA

POLSKI INSTYTUT STUDIÓW NAD SZTUKĄ ŚWIATA
& WYDAWNICTWO TAKO
WARSZAWA-TORUŃ 2018

O innej polskiej działaczce w Indiach, Wandzie Dynowskiej:

<https://www.cultureave.com/gdzie-sie-ganges-toczy/>